№ 33. Warszawa, dnia 6 (18) Sierpnia 1877 roku.



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:
W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80. -Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera. Przedpłata dla GALICYI z przesyłką pocztową kwart. zlr. 4. W KRAKOWIE zlr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Elektoralnej Nr 779 (nowy 41).

STUDYA Z LITERATURY POLSKIEJ

przez L. S. W.

II.

Sebastyan Fabian Klonowicz.

Drogi i zawady przystępne dla nieszlachty w dawnej Polsce. Życiorys Klonowicza. Wpływy zewnętrzne na twórczość poetycką Klonowicza: swojskość i satyryczność jego poezyi. Ogólne zalety i wady utworów Klonowicza. Rozbiór poematu Flis. Rozbiór Worka Judaszowego. Roxolania. Victoria Deorum. (Zwycięztwo Bogów). Pomniejsze i podrzędne utwory polskie i łacińskie Klonowicza.

(Dalszy ciąg).

Rozbiór tych dzieł zaczniemy od polskich utworów.

Flis jest poematem zupełnie samodzielnym i oryginalnym. Sam już tytuł był nowością, sprzeczną z przyjętemi podówczas klasycznemi regułami smaku, gdyż wyraz *flis* miał znaczenie obelżywe. Poeta daje tu wskazówki bezpiecznej i dogodnej żeglugi Wisłą z Warszawy od mostu (przy ulicy Mostowej, wybudowanego przez Zygmunta Augusta i Annę Jagielonkę) aż do Gdańska, również do mostu, zwanego Zielonym). Przytem jednak, okazując właściwe sobie, choć w mniejszej niż w innych utworach mierze, rozproszenie i potrącając mnóstwo przedmiotów, mówi dużo o handlu, a mianowicie zbożowym, o budowie łodzi i okrętów, o żegludze rzecznej i morskiej opisuje krajobrazy nadwiślańskie, ostrowy, kępy, wsie i miasta, podaje cenne szczegóły o flisach, ich mowie i obyczajach, wreszcie i tutaj już przycina nieraz szlachcie. Zwyczajem swoim, poeta zaczyna ni mniej ni więcej jak od samego stworzenia świata, mówi o rozmaitych stworzeniach zaludniających niebo, ziemię i wodę i o rozmaitych rodzajach pożywienia, przez różne ludy używanych. Bogactwa i urodzajność rolniczej Polski maluje w pięknych wierszach, jak np. następujące:

Kiedy więc Polska na żyznym zagonie
zasiadła jako u Boga na łonie.
Może nie wiedzieć polak, co to morze,
gdy pilnie orze.
Tu gumna w szczyrych polach stoją hojne,
tu wzór bogaty, tu żniwa spokojne,
tu chłopek wesół, bo pewnie ma wszystko,
kiedy ma żytko.
Tu zwierza dosyć, tu bydło rogate,
tu woły tuczne i owce kosmate,
pasą się w łąkach jałowice tłuste
i kozy puste.
Ztąd ma gospodarz i sprzężą do pługa,
ztąd ma odzieżą pan i dobry sługa,
ztąd mięso świeże, nabiału dostatek,
w mieszek ostatek.

Gani więc poeta wędrówki polaków do obcych krajów, a w szczególności — żeglugę po Wiśle:

Przetoż już nie wiem czemuś wżdy tak chciwy
mój panie bracie, mając takie niwy.
Czego wżdy szukasz w dalekim powiecie
na nowym świecie?
Nie wiem, zkąd ci to przyszło, żeś tak śmiały,
iż opuściwszy na lądzie grunt cały,
jąłeś się pływać po Wandzinej wodzie,
często ku szkodzie.

W ogóle uważa za niestosowne, ażeby ludzie puszczali się na wodę:

Gdyż woda ludziom rzecz nieuchodzona,
samym to rybom włość jest przyrodzona,
po wodzie tylko pająk cienkonogi
ujdzie bez trwogi.

Po kilku zboczeniach mitologicznych i długich refleksyach, poeta uznaje wreszcie, że swojskie łódki i promy są rzeczą dobrą, ale powstaje przeciwko „komięgom“ i okrętom, które polacy wzięli od niemców, a mianowicie od gdańszczan.

Przyczynę niebezpiecznej żeglugi do Gdańska widzi poeta w nienasyconej chciwości panów, którzy posyłają na sprzedaż zboże, ażeby dogodzić swym zbytkom.

Tu już ubolewa Klonowicz nad losem chłopków i ostro potępia panów.

Każdy rok szlachcic, acz nowiny porze,
i nagnoiwszy stare pola, orze,
jak osieł chłopek nigdy bez kłopotu,
nie oschnie z potu.
Robi dzień i noc, i konny i pieszy,
przecie się z tego chciwy pan nie cieszy;
oba potrzebni (biada mnie na świecie)
i pan i kmiecie.
. . . . .
Czem się to dzieje, jeśliby mię pytał,
ja na to patrząc, właśnie jakbym czytał:
iż co się zrodzi na polskim ugorze,
połknie to morze.
Pan nie nasyci morza bezednego,
wsi nie nasycą pana choć jednego,
tak wszystko ginie, co użną poddani,
jako w otchłani.
Bo tak idzie ten nierządny porządek,
iż szkuta właśnie jakoby żołądek
pozrze folwarki, gdy pan żyje szumno
i wszystko gumno.
Te zaś żołądki prowadzą do Gdańska
poty cnych kmiotków, a raczej do Chłańska;
Ztamtąd ma pycha podżogę do zbytku,
miasto pożytku.
Morze nie ma dna, nie ma też i zbytek,
zawsze chce więcej, mało mu świat wszytek,

nie zna miary, więc co pilność ugoni,
zbytek uroni.

Ale, dodaje poeta:

jako przyszła, tak odejdzie ona
kupą mamona.

Dowodząc dalej że „okręt“ najpierwiej wymyśliła chciwość, poeta nie przepuszcza ani Jazonowi z Argonautami, ani Parysowi i Helenie, ani Minosowi, a następnie mówiąc o morskich drogach handlowych, wylicza prawie wszystkie kraje nadmorskie Europy i świata całego. Potem znów wraca do powodzenia, że szlachcic polski dość ma i bez żeglugi handlowej, nagania żądzę prędkiego zbogacenia się:

Nie tak majętni wielcy frajherowie
(baronowie niemieccy)
nie tak bogaci sławni Fugierowie,
(bogacze augsburgscy, Rotszyldowie owych czasów)
jako tu szlachcic o świętym Marcinie
w naszej krainie.

Gdy zwiezie w brogi, a znowu zaś wsieje
drugiego żniwa uczciwe nadzieje,
zasiędzie sobie przy ogniu sosnowym,
przy trunku zdrowym.

Może nie zajrzeć (zazdrościć) kupiectwa mieszczanom,
może nie zajrzeć towarów gdańszczanom;
wzajem to idzie: bój się prędkiej straty,
prędko bogaty.

Następnie sięga poeta czasów Noego i Deukaliona, szeroko dowodzi, że korab Noego miał racyą bytu i wreszcie już przystaje na sprzedaż zboża polskiego cudzoziemcom, ale utrzymuje że nie należy go im wozić, niech raczej ci, co go potrzebują, sami po nie do Polski przyjeżdżają; wożąc zaś im chleb swój do domu, dowodzimy „iżeśmy pieniędzy są potrzebniejsi niż ci chleba w nędzy.“ Prawi dalej autor o handlu zbożowym w Polsce, o rozmaitych targowiskach i przystaniach i o jego brakach; następnie uczy ogledności przy wyprawie do Gdańska i radzi nie ładować wszystkiego zboża, lecz tylko połowę, ażeby w razie zatonięcia szkuty, nie zubożeć zupełnie i mieć do czego powracać. Tu przytacza poeta prześliczne podanie, zapewne ludowe, którego treść jest następująca. Niegdyś nietoperz, nurek (ptak) i krzew jeżynowy weszli w spółkę kupiecką, ale wszystek ich towar na morzu zatonął, gdyż spólnicy nie byli tyle roztropni, ażeby zostawić połowę swego mienia w domu. Wskutek tego więc nietylko zupełnie zubożeli, ale nadto zaciągnęli wiele długów, gdyż znaczna część towarów wziętą była na kredyt. Od tego czasu nietoperz lata tylko w nocy, gdyż we dnie kryje się od swoich kredytorów; nurek ciągle szuka na dnie morskiem zatopionych swych skarbów, a krzak jeżynowy kolcami swemi chwyta przechodniów, podejrzywając, że takowe z jego własnego sukna są uszyte. Jeżeli to podanie jest polskiem, nie zaś wschodniem lub pra aryjskiem, to musiało powstać na wybrzeżu Baltyku między żeglarzami i kupcami. Dodając następnie rady co do urządzenia i zabezpieczenia statku, co do zasięgania pewnych wiadomości o cenach zboża i t. p., poeta radzi naśladować roztropność wężów, które jakoby płyną wspólnie splecioną kratą w kształcie brony. To daje pochop poecie do szerokich wywodów, jak rozmaite kunszta ludzkie powstały z naśladowania zwierząt: tkactwo z naśladowania pająka, żeglarstwo — z naśladowania żyjątka, zwanego nautiliusem, które „z siebie własny czyni okręcik“ i t. p. Rozszerza się dalej nad podobieństwem okrętu do ryby i porównywa pojedyńcze części obojga; potem daje rady co do zaopatrzenia statku w żywność i zaleca znajomość języka flisów. Pod tym ostatnim względem znajdujemy tu wiele ciekawych wyrazów (nie wiemy czy jeszcze i dotąd w języku flisów przetrwały) jak np. *brzeg* u flisów nazywa się *lądem* i bywa albo *ostry* albo *płaski*; *Wisła* jest dwojaka — *Samica* i *Lacha*; *Wiślisko* jest dawne koryto tam, gdzie zjawiają się nowe prądy; *wyspę*, porosłą drzewami flisy nazywają *ostrowem*, a taką, gdzie tylko chróst, piasek i drobny lasek, zowią *kępą*; główny gościniec statków nazywa się *wartem*; drzewo zatopione nazywa się *prądem* albo *wilkiem*, a miejsca, gdzie takowe się znajdują, są dla statków niebezpieczne i należy je omijać:

Bywały rotman łacwie się w tem sprawi,
bo się na prądzie woda kędzierzawi;
czasem też gada, przestrzega zdaleka
głosem człowieka.

Piasek u flisów nazywa się *hakiem*; ścieżka flisowska *trelem*, mgła — *mamką*, wiatr — *stryjem*, wrona —*ciotuchną*, bocian — *księdzem Wojciechem*.

Nieznających języka flisackiego i nieprzestrzegających zwyczajów flisów płazowano szablą u Nogatu, jak opowiada poeta.

Po tem wszystkiem dopiero, a więc właściwie już pod koniec poematu, zaczyna się opis drogi rzecznej od mostu warszawskiego do gdańskiego. Jest to po większej części suche wyliczenie miejscowości, z dodaniem tu i owdzie kilku słów charakterystyki. Godnym uwagi jest ustęp, w którym poeta opowiada, jak Narew, rozgniewana za to że nie uznano jej równą Wiśle w piękności, zamiast płynąć prosto drogą ku Wiśle, odwróciła się od niej na prawo i miejsce to nazywają Gniewem. „Czerwony“ Włocławek nazywa poeta słynnym „z księży, ceł i piwa“ a Toruń wychwala wymownie, unosząc się nad wielką cnotą jego mieszkańców. Zakończenie poematu stanowią rady i wskazówki, jak trzeba mieć się na baczności, sprzedając zboże niemcom, ażeby nie zostać oszukanym przez kupców i pośredników.

Z niniejszego rozbioru Flisa widzimy, że to jeden z najgodniejszych uwagi utworów poezyi polskiej, a przytoczone próbki dają miarę rozrzuconych tam hojnie piękności, klejnotów prawdziwej poezyi i jędrnego, po większej części prześlicznego języka. W przedmowie poeta powiada, że jego Flis może być śpiewanym.

Poemat satyryczny „Worek Judaszów“ ma za treść złodziejstwo i rozmaite rodzaje złodziejów. Za pierwowzór złodziejów obiera poeta Judasza Iskaryotę „w szafrannej szacie i z brodą cisawą“ i daje mu worek z czterech sztuk skóry złożony: z wilczej, lisiej, rysiej i lwiej. Według tego dzieli rozmaite postacie złodziejstwa na cztery rodzaje:

Wilk bierze potajemnie, a liszka się łasi;
ryś centkowatą sierścią swoją zdradę krasi,
a lew gwałtem wydziera, co ugoni trzyma.

Mówi więc poeta szeroko naprzód o skórze wilczej czyli o różnych rodzajach złodziejstwa potajemnego, o świętokradztwie, okradaniu skarbu rzeczypospolitej, pogoni za urzędami, kradzieży bydła, koni i o ludokupstwie czyli porywaniu ludzi i zaprzedawaniu ich do niewoli tureckiej i tatarskiej, co w XVI i XVII wieku zdarzało się bardzo często. W tem wszystkiem dużo rozwlekłości, mitologicznej okrasy, zboczeń i epizodów, ale wiele także ciekawych rysów obyczajów i ustępów pełnych werwy, dowcipu i prawdziwej poezyi. Tak godnym jest uwagi ustęp o cyganach — opis zaniedbanej ich powierzchowności, praktyk złodziejskich, wróżby i t. d. Poeta wyprowadza cyganów od dawnych wandalów, a że wandale dawniej jakoby mieszkali w Polsce, więc i potomkom ich autor każe do dawnej wrzekomo ojczyzny wracać. W ustępie o pogoni za urzędami ciekawy jest opis stanowiska burmistrza miejskiego, z doświadczenia własnego Klonowiczowi znanego. Przedstawia tu nam poeta burmistrza, sądzącego sprawy kupców cudzoziemskich.

a wtem wnijdzie podwodnik: burmistrzu, daj koni
na podwodę! Lękną się cudzoziemcy oni,
patrzą, co się to dzieje, a pan się porywa;
czasem nieborak burmistrz i szwanki obrywa;
wstydzi się obcych ludzi, jakoby go z stołu
zrzucił albo z kobierca, z radzkimi pospołu.
Cóż mawa bracie czynić, już dalej nie wiewa:
podobno tu przyjdzie iść do sądów od chlewa,
szukać koni po stajniach, odbieżawszy onych
gdańszczan i wrocławianów bardzo potrwożonych.

Dalej tak maluje poeta poniewieranie burmistrzów miasteczkowych od szlachty.

Na drugie burmistrzostw włożono szarwarki,
miasto rządów i sądów pilnują garbarki.
Kiedy ondzie na wiosnę poczną się rwać stawy;
już tu, panie burmistrzu, połóż inne sprawy;
już tu, bracie, z barłogiem i gnojem najpierwiej
mykaj niżli się zejdzie pospólstwo; do przerwy
jeźli po czasie przyjdziesz (niestety na świecie),
odniesiesz od starosty korbaczem po grzbiecie.
Czasem poczczą burmistrza, iż pług jego przodkiem
wyjeżdża na pańszczyznę, a radzieckie śrzodkiem,
prostacy na ostatku. Burmistrz naprzod śpiewa
onę piosnkę oracką, pospólstwo opiewa.
A panu miło słuchać onego nieszporu
i tak się wlecze codzień k'samemu wieczoru.
Radby miał Wenecyą z miasteczka, lecz duka
chce by mu rolę orał; nie lada to sztuka.

(d. c. n.)

TESKNOTA

Do duszy mej zimno wionęło,
Chłód tęsknicy —
Więc z óczmych łez kilka spłynęło
W tajemnicy...

Zda mi się żem ja już sierota,
Bez nikogo —
Więc mię żal, samotność, tęsknota,
Męczą srogo...

Wiem przecież, że serca życzliwe
Dla mnie biją —
Lecz zwątpień obrazy dotkliwe
W myśl się wpiją...

Czyż zgasły ożywcze promienie
Mej pociechy?..
Przepadły radości, marzenie
I uśmiechy...?

Oh! gdyby słóweczko gorące
Się ozwało —
Toby mię to serce tęskniące
Mniej bolało...

Niestety! tu pusto w około,
Nikt nie słyszy...
Znużona... pochylam swe czoło,
Płacząc w ciszy...

Marya Szeliga.

MARYA.

Powieść

przez El. Orzeszkową.

(Dalszy ciąg).

Z sali jadalnej towarzystwo przeszło do bawialnego salonu i ugrupowało się tam najrozmaiciej. Iwicki rozmawiał wesoło i przyjacielsko z dwoma staruszkami siwemi jak gołębie, których przedstawił mi wprzódy, jako najstarszych i wiekiem i urzędem pomocników swoich i ojca swego jeszcze. Były to przecież, nieliczące siwiejącej czupryny gospodarza domu, jedyne siwe włosy w całem zgromadzeniu. Siedmiu młodych zupełnie i widocznie bardzo niezamożnych ludzi, otoczyło kanapę na której siedziała pani domu i prowadziło z nią rozmowę w której z jednej strony była szczera i wesoła uprzejmość, z innej głęboki szacunek połączony z odcieniem ufności i uwielbienia. Pogadanka toczyła się powszedniemi zupełnie torami, o sprawach biórowych i rodzinnych, o zamążpójściu siostry jednego z młodych ludzi, o szkolnych powodzeniach braci innego z nich, o jakiejś zabawie nakoniec, która niedawno odbywała się w którymś z mieszczańskich domów i o której epizodach młodzi ludzie opowiadali żartobliwie lub z naiwnem zachwyceniem. Pomimo jednak lekkości i powszedniości pogadanki tej, z przyjemnością zauważyłem że młodzi ludzi ci niepokaźni, ubodzy, i widocznie nie wysoko urodzeni, całą powierzchownością swą różnili się bardzo z kolegami swymi, kancelistami i komisyonierami, pracującymi jak oni w biórach rządowych lub prywatnych. Była w obejściu się ich pewna skromność, w sposobie wyrażania się pewna poprawność i loiczność, które znamionowały wyższą skalę nietylko obycia się towarzyskiego ale nawet umoralnienia i niejako estetycznego wykształcenia. Łatwo przecież zrozumiałem zjawisko to przypomniawszy sobie konieczne wpływy wywierane na ludzi przez miejsca do których uczęszczają oni, i widoki na które od czasu do czasu choćby spoglądają.

Kwadranse upływały, młodzi ludzie przeglądali albumy i broszury których zbiór wielki znajduje się w salonie i zapytywali gospodynię domu o nazwy roślin napełniających pokój. Nie wiem czy mylę się sądząc, że nawet tłumy kwiatów zgromadzone w salonie p. Iwickiej przyczyniają się nieco do uszlachetnienia wyobraźni i udelikatnienia smaku skromnych jej gości. Obiadując w garkuchniach widzieliby oni zamiast nich, odymione ściany, otłuszczone naczynia i inne nieładne rzeczy, które jeżeli nie poniżają umysłu widza, to przynajmniej pozostawiają go w uśpieniu.

Iwicki rozmawiał wciąż ze swemi siwemi gołębiami a bardzo rzadko wtrącał się w rozmowę młodych swych pomocników. Zdaje mi się że przypuszczając ich do swego towarzystwa, chce on przecież względem nich zachować powagę pryncypała, w czem może być że i słusznie postępuje. W ogólności zacny ten kupiec miał wśród zgromadzenia tego pozór człowieka dumnego trochę swem towarzyskiem i patryarchalnem położeniem. Siedział on na szezlongu wygodnie, trochę może zbyt wygodnie rozparty, palił zwolna fajeczkę na krótkim cybuszku osadzoną i debatował z gołębiami o cenach zboża i drzewa na zagranicznych targach, o kursie pieniędzy krajowych zagranicą, o wartości lasów jakichś znajdujących się w oddalonym powiecie i proponowanych mu do nabycia. Dwaj czy trzej z pomiędzy młodych kancelistów opuściwszy gospodynią domu, albumy i broszury, stanęli w pełnem uszanowania oddaleniu od pryncypała i przysłuchiwali się z zajęciem jego rozmowie. Po pewnym czasie, wysmukła Natalka i siedmioletni Janek wbiegli z sali jadalnej do salonu i z wielkiem swem uradowaniem poczęli roznosić pomiędzy gośćmi koszyki z owocami. Natalka posiada ruchy, gesty i sposób uśmiechania się swej przybranej matki. Widocznie kształci się ona według pierwowzoru do którego przywiązana jest z fanatyzmem pojętnego i niezmiernie żywego dziecka. Mały Janek podawał owoce urzędnikom swego ojca mówiąc: proszę brać! Mama prosi żeby pan wziął! Niektórzy z nich zamiast jabłek i gruszek brali malca, podnosili go nad ziemę i całowali w oba policzki. Iwicki patrzał na to z ukosa i uśmiechał się niezmiernie na widok powszechnej łaski której doświadcza u ludzi mały jego faworyt, pani Iwicka zaś ściślej przygarniała ku sobie średnie dziecię swe, które nie odstępuje ją nigdy ani na krok, a wtedy siedząc przy niej na kanapie przeglądało w milczeniu jeden z albumów i uśmiechało się czasem na widok obrazka którego treść zrozumieć już mogło.

Wierz o tem mój Jerzy, jak rzadko wytrwać mogę w liczniejszych nieco zebraniach dłużej nad godzinę, po godzinie już nawet szmerów tych, najczęściej bezmyślnych, czuję się zmęczonym i w najgorszym hu morze. Tu jednak, zapomniałem że istnieją na świecie zegarki. Mówiłem przecież sam bardzo rzadko ale patrzałem i myślałem. Myślałem że tu i owdzie, są na tym świecie rzeczy szlachetne i rozumne i że nie jest zgubionem społeczeństwo które posiada domy takie jak ten, w którym się znajdowałem.

W akordzie tym były jednak dwie nuty fałszywe. Jedną z nich stanowił człowiek z powierzchownością dość ładną ale zdradzającą pewną nieszczerość i przewrotną giętkość, drugą siostra gospodarza domu owa panna Klotylda, o której nie raz pobieżnie wspomniałem a która jak mi się zdaje, przedstawia jeden z tych patologicznych niemal okazów które my lekarze często wśród kobiecych organizacyi napotykamy. Przypatrzyłem się jej bacznie jak wszystkiemu co mię otaczało, co otacza zwykle panią Iwicką. Jest to panna trzydziestokilkoletnia z ładnemi płowemi włosami, które jednak układa w sposób nadzwyczajnie brzydki, z bardzo białą, dobrze zachowaną cerą, trochę ciężka i niezgrabna, dość jednak, po bliższem przyjrzeniu się przystojna.

Otóż młodziutki urzędnik z chytrym wyrazem twarzy i panna Klotylda, trzymali się ze sobą ciągle nierozłącznie i na stronie. Rozmowa pomiędzy nimi toczyła się półgłosem, przerywana szeptem i śmiechami. Panna Klotylda trzpiotała się nawet trochę, zerwała kwiat pysznie rozkwitający w wazonie i przypięła go do butonierki młodzieńca. On spoglądał w jej oczy z poufałością trochę nieprzystojną.

Kobieta jest widocznie żywo zajętą, mężczyzna, niewiem w jakim celu, stara się zajęcie to rozbudzać. Co pewna to że szepcąca i trzpiotająca się para ta, sprawiała pani Iwickiej przykrość widoczną, choć ukrywaną, Iwicki zaś chmurzył się ile razy z pod oka spojrzał na siostrę.

Zmierzch zapadał gdy służący i pokojówka wnieśli do salonu dwie wielkie zapalone lampy i umieścili je na stołach, pomiędzy kwiatami. Dzień to był świąteczny, wieczór więc cały towarzystwo te przepędzić miało razem. Pani Iwicka zbliżyła się i usiadła przy mnie.

— Czy pan nie znudziłeś się dziś u nas? zapytała.

— Owszem pani, odpowiedziałem, niepamiętam abym kiedykolwiek, wśród tylu na raz ludzi, przepędzał czas tak wybornie.

Byłem szczery.

— Ale dla pani, rzekłem, czy zabawy podobne nie są zbyt nużącemi? Wszak wśród ludzi tych których zgromadzasz pani dokoła siebie, nie ma takich którzyby towarzystwem swem istotną przyjemność Jej mogli przyjemność?

— Owszem, odpowiedziała, miło mi jest być z tymi ludźmi bo ich szczerze lubię, bo jako domownicy moi prawie, obchodzą mię oni bardzo. Zresztą, nie o samą przyjemność mi tu idzie... patrzę trochę dalej...

Opowiedziała mi historyą kilku z tych młodych ludzi który tak wesoło wyglądali w jej salonie. Nie były to przecież wcale historye wesołe. Dzieciństwa opuszczone, rodzinne domy pełne ciemnoty albo nawet nędzy, pierwsze młodości oddane na pastwę pracy ciężkiej i źle wynagradzanej, przesuwały się przed memi oczami, wywołane opowiadaniem którego słuchałem a którego każdy wyraz brzmiał miłością dla ludzi i litością dla cierpień ich i upadków.

Nagle, kędyś w rogu salonu, zegar wydzwonił godzinę.

Przypomniałem sobie wtedy że były na świecie zegary i godziny i że na ten wieczór właśnie zwołałem był do jednego z pacyentów moich lekarską naradę.

Czy będziesz dziwił się, Jerzy, gdy ci powiem, że ciężko mi było wstać i odejść? Ale nie miałem już do darowania sobie ani jednej minuty.

Kiedy żegnałem panią Iwicką spostrzegłem że mąż jej stoi naprzeciw nas i patrzy na mnie z tym szczególnym wyrazem który już parę razy w oczach jego zauważyłem. Jest to wyraz badawczej, chmurnej nieco uwagi. Mogłoby się zdawać że wpatrując się tak wemnie człowiek ten chce mię przeniknąć do głębi, w gruncie zaś musi to być szczególne przyzwyczajenie do patrzenia takiego na ludzi, jedna z powierzchownych chropowatości których najzacniejszy zresztą kupiec ten ma sporą dozę. Kiedy chciałem pożegnać go powiedział że pójdzie zemną bo ma pilny interes na mieście i wyjść z domu musi. Zapytał mię dokąd idę i oznajmił że udaje się w tę samą właśnie stronę. Z gośćmi których pozostawiał u siebie postępował bez żadnej ceremonii, jak zresztą ze wszystkimi zawsze postępuje.

Gdy szliśmy obok siebie chodnikiem ulicy, Iwicki pierwszy zaczął rozmowę, punkt wyjścia której był dla mnie wcale niespodziewanym.

— Pan od niedawna jeszcze znasz moją żonę, zaczął po krótkim wstępie, bo tego spotkania się waszego przed wielu laty nie ma co liczyć. Otóż widzisz pan, jest to kobieta którą znać trzeba długo aby poznać i ocenić w zupełności. Nie można powiedzieć o niej że jest uczoną kobietą ani wyborną gospodynią domu, ani najlepszą matką... cudzych dzieci... ani wesołą i przyjemną towarzyszką tych z którymi żyje, bo jest ona wszystkiem tem razem.

Nie znalazłem na przemowę tę żadnej głośnej odpowiedzi. W myśli tylko powiedziałem sobie że zacny kupiec bardzo porządnie sporządzać umiał inwentarz przymiotów swej żony.

Iwicki mówił dalej.

— Kiedy żeniłem się z Maryą, wielu ludzi utrzymywało że popełniam szaleństwo biorąc za żonę kobietę młodszą od siebie o lat 20, piękną i wysokiego rodu. Otóż pokazało się że nie popełniłem szaleństwa ale owszem uczyniłem rzecz najrozumniejszą jaką człowiek uczynić może, bo zdobyłem sobie wraz z nią szczęście i błogosławieństwo życia. Co

prawda, odkąd zacząłem żyć z Maryą, przekonałem się dopiero że ludzie którzy utrzymują iż szczęścia nie ma na świecie, kłamią!

— Zapewne, zauważyłem, ale uczyńże pan tak aby gwiazdy niebieskie i perły morskie dostępnemi były wszystkim ludziom a ludzie przestaną kłamać w ten sposób.

Iwicki patrzał na mnie chwilę przy zmroku panującym na ulicy, jakby chciał dojrzeć wyraz mojej twarzy.

— Poetycznych używasz pan przyrównań, rzekł po chwili, ale nie są one przesadzonemi. Żadna nawet gwiazda nie oświeci tak zmroku nocy i żadna perła nie uszczęśliwi tak nurka który ją znajdzie, jak kobieta ta oświeca i uszczęśliwia moje życie.

Nie sądziłem doprawdy aby był zdolnym do wyrażania się w ten sposób. Zazwyczaj mówi on z prostotą graniczącą zbliska z trywialnością.

Nie powiem panu, mówił dalej, abym był przed ożenieniem się z Maryą nędzarzem albo nędznikiem. Miałem owszem zawód uczciwy i pewne przyjemności życia. Jednak, odkąd zacząłem żyć z nią, wszystkiego mi przybyło: zręczności, rozumu, majątku i szacunku ludzkiego. Czuję że jestem więcej wart niż byłem przedtem i że więcej wszelkich wartości wytwarzam w koło siebie. Na pozór wydawać się może iż kobieta nie ma żadnego wpływu na interesy męża, jeżeli szczególniej są one takiej natury jak moje. Otóż całkiem przeciwnie. Przez pięć lat ostatnich majątek mój wzrasta, wtedy gdy przedtem utrzymywał się zaledwie w równowadze. Co do tych ludzi których pan widziałeś dziś zgromadzonych w moim domu, uważałem ich zawsze za rodzaj służących moich, którym płaciłem wedle wartości ich pracy. Nie przychodziło mi na myśl abym coś więcej mógł i powinien dla nich czynić. Teraz widzisz pan że w domu moim znajdują oni nietylko kawałek chleba ale i coś więcej jeszcze. Jest też jedno z dzieci moich które kochałem mniej niż inne, przewidując że nie uczyni mi zaszczytu ani przyjemności, będąc nawpół kaleką. Byłem niesprawiedliwym, nieprawdaż? No tak, ale zrozumiałem to i poprawiłem się, a raczej poprawiło się to we mnie samo przez się i teraz mam nadzieję że żadna krzywda ani niechęć nie zapanuje nigdy pomiędzy mną a dziećmi memi.

Po krótkiej chwili milczenia, rzekł jeszcze.

— Wyobraź pan sobie budowę jaką któraby opierała się na jednym filarze; gdyby filar ten runął, gmach cały upadłby z nim w gruzy. Otóż wszystko co posiadam, czynię i znaczę na świecie, pomyślność przedsiębierstw moich, dom mój i rodzina moja wspierają się na Maryi. Gdyby mi jej zabrakło, nie powiem że strzeliłbym sobie w łeb albo że pękłoby mi serce, ale śmiało powiedzieć mogę że przepadłoby nietylko szczęście moje ale wiele rzeczy, którym podobne nie z pod każdego kamienia wyrastają.

W tej chwili stanęliśmy u bramy domu do którego wejść miałem. Nad bramą paliły się dwie latarnie przy świetle których spojrzeliśmy w twarze. Siwe głęboko osadzone oczy kupca błyszczały wzruszeniem. Co do mnie czułem się zimnym jak lód. Dość szczególnem było to nawet że wzruszone słowa tego człowieka zamiast zarażać mię wzruszeniem, mroziły mię i wywoływały na usta moje uśmiech, który wątpię czy wyglądałby wesoło, gdybym pozwolił mu się ukazać.

Podałem Iwickiemu rękę na pożegnanie i rzekłem:

— W ciemne otchłanie nieszczęść które pan ostatniemi słowami odmalowałeś, nie wejdziesz pan prawdopodobnie nigdy. Jesteście państwo oboje w wieku w którym spodziewać się jeszcze można długich lat zdrowia, szczęścia i wszelkich pomyślności.

Po tych słowach pożegnaliśmy się. Wstępując na wschody prowadzące do mieszkania mego chorego, myślałem dla czego człowiek ten uczynił dziś dla mnie tak znaczny wydatek wymowy? A przyznać trzeba że gdy jest wzruszonym znajduje w głowie swej pewne wyrażenia energiczne i trafnie rzeczy malujące, które wymową nazwać można. Czy jest on tak przepełniony poczuciem szczęścia swego, że czuje potrzebę oblewania niem swych znajomych? Czy myśli że jestem ślepym i nie widzę sam tego co rzuca się w oczy?

Narada lekarska trwała dość długo, późna już była godzina gdy wróciłem do domu.

Czy znasz, Jerzy, usposobienia takie jak to które opanowało mię wtedy? Po dwugodzinnej zaledwie, roztargnionej pracy, rzuciłem z roztargnieniem książkę i pióro i odbywać zacząłem jedną z tych komicznych zdaleka ale zblizka niezbyt uciesznych przechadzek, w których wzburzonym myślom i krokom człowieka odpowiada tylko głucha cisza a wzrokowi jego na spotkanie biegną: ciemność, zalegająca milczące kąty domu i pustelnicze światło, palące się wśród nagromadzonych po stołach druków i szpargałów?

Upewnić cię mogę że wieczoru tego położyłem się spać w humorze zupełnie czarnym, spowodowanym tem głównie że nie byłem zadowolony z samego siebie. Nazajutrz jednak przekonałem się że miałem dnia tego chyba trochę gorączki. Ani wewnętrzna równowaga moja nie została zachwianą, jak mi się to wydało, ani Iwicki nie mógł mieć, w rozmowie swej zemną tej ostatecznej myśli o którą go przez chwilę posądzałem. Jesteśmy obaj zbyt rozsądni aby nas każda mara życia, ponętna czy straszna, podbijać albo przerażać miała.

Przed południem odwiedziłem chorego kancelistę państwa Iwickich i ztamtąd udałem się na piętro kamienicy aby zobaczyć małego Franusia którego cera nie zupełnie podobała mi się dnia poprzedniego.

W bawialnym pokoju spotkała mię Natalka, zrobiła przedemną zgrabny dyg i podając mi rączkę po którą sięgnąłem, powiedziała mi że matka jej prosi mię do swego pokoju.

Wszedłem więc do ustronnej pracowni pani Iwickiej i znalazłem ją siedzącą na niskiej kanapce z książką otwartą na kolanach i Franusiem u stóp jej siedzącym. Nawpół tylko podniosła się na spotkanie moje i zaczęła mię pytać o chorego pomocnika swego męża. Potem wzięła w obie dłonie głowę Franusia i z uśmiechem zwróciła twarz jego ku mnie. Dziecko było zdrowe choć wyglądało blado, w przyległych pokojach mały Janek bawił się z jakimś rówieśnikiem swym, Natalka z robótką w ręku usiadła w kątku pokoju na niskim stołeczku. Cisza wielka panowała w domu, przerywana tylko czasem śmiechem bawiących się dzieci. Za oknami pruszył deszcz drobny i szumiały w szarej mgle nagie drzewa ogrodu. W rogu pokoju z za żelaznej kraty komina błyskały żółte płomienie ognia.

Spojrzałem na wielką szafę z książkami i żartując przypomniałem p. Iwickiej przyrzeczenie które mi dała, otworzenia kiedyś przedemną tego przybytku nie zupełnie mi znanych mądrości. Powstała szybko i śmiejąc się otworzyła na oścież szerokie drzwi szafy. Zdjęła z półki parę tomów i usiadła z niemi na uprzedniem miejscu. Imię autora książek tych było mi prawie nieznane a jednak jak przekonałem się potem jest on jednym z przywódzców tegoczesnej umysłowości. Tylko że gałęź nauki której się oddaje nie posiada bezpośredniej styczności z tą która stanowi przedmiot specyalnych moich studyów, dla tego wiedziałem o nim zaledwie to że kędyś pod słońcem istnieje.

Mniejsza o tytuł książki tej i o imię jej autora. Była to rzecz pomyślana i wykonana z tą potęgą myśli i słowa która podbija i zachwyca każdy dobrze uorganizowany umysł. Ustępy czytane były nam wątkiem długiej rozmowy w której posprzeczaliśmy się parę razy a sto razy zgodziliśmy się na jedno i z której przyjaciel twój, Jerzy, dowiedział się z pewnem zmartwieniem swem, że w czasie gdy ścigał on uporczywie okiem jeden prąd myśli ludzkiej, mnóstwo innych płynęło sobie światłem szerokiem a on na nie patrzeć nie myślał choć były ważne i na wielu punktach z wybraną przezeń specyalną dziedziną związane.

Tak: miałeś słuszność, Jerzy, utrzymując że myślenie we dwoje jest rzeczą arcy dobrą. Czworo oczów widzi zawsze lepiej i więcej niż dwoje. Jest ono także rzeczą dziwnie rozkoszną dla mnie przynajmniej który odkąd rozstałem się z towarzyszami pierwszej młodości, z tobą szczególniej, Jerzy, myślałem zawsze sam jeden.

Prawdą też jest niezawodną ale którą wczoraj dopiero stwierdziłem na sobie, że jeden rodzaj pracy umysłowej udzielić może spoczynku po innym, że myśl znużona nieco wśród jednego kręgu badań, uczuć się może świeżą i rzeźwą śród innego.

W ślicznym, ciepłym, cichym pokoju pani Iwickiej spędziłem parę godzin. Nie wyrzekliśmy o sobie samych ani jednego słowa a jednak, ja przynajmniej doświadczałem uczucia takiego, jakbyśmy się sobie ciągle zwierzali z tego co nas najżywiej obchodzi na świecie. W istocie, dla niej jak dla mnie, idee zawierające w sobie najwyższy wykwit myśli i nadziei ludzkich, posiadają czar nienadwerężony ani latami ani niejednem doświadczeniem, które się zdaje zaprzeczać prawdziwości ich a możliwości. Mogą zdarzać się chwile w których wielkie pomysły i aspiracye ludzkie wywołują na usta uśmiech niedowierzający i smutny, tło życia całego przecież osnuwa się wciąż na nich bezwiednie prawie, z popędu najgłębszej natury, nieledwie z przyzwyczajenia.

Wyszedłem ztamtąd, Jerzy, młodszy o lat kilka, z myślą tak świeżą jak niegdyś, przed wszelkiem zmęczeniem bywała, z jakąś gorącą iskrą którą czułem w źrenicy. Przyrzekliśmy sobie że ile razy będziemy mieli czas po temu, puszczać się będziemy razem na poszukiwania nowych światów jak mówi śmiejąc się pani Iwicka. Prawdopodobnie nie często zdarzać się to będzie, bo ani ja ani ona, nie mamy wielu godzin do rozporządzenia naszego. W każdym razie, przyjazny stosunek z tą kobietą, rozmowy z nią choć nie częste, sam jej już widok, stanowi w życiu mojem żywioł całkiem nowy i najlepiej określę wpływ jego na mnie, gdy powiem: odmładzający!

Cóż dziwnego że Iwicki w pięćdziesięciu latach swych jest tak krzepki i czynny i tak wesoły! Nieba i ludzie! dajcie mi codziennie dwie godziny, tylko dwie godziny takie jak te które przepędziłem wczoraj, a wrócą mi wszystkie siły, wiary i zapały pierwszej młodości, praca moja sto razy większy plon przyniesie, a humor mój będzie tak wesołym że chyba samem wyglądaniem mem wszystkich moich chorych uleczę.

Adam.

LIST XI.

Klementyna do Maryi.

Warszawa, 15 Stycznia.

Niepoczciwie postępujesz Maryo, nie pisząc do mnie przez cały miesiąc. Siostry moje donoszą mi

że widują cię czasem, że jesteś zdrową i że ani z tobą ani w domu twoim nic złego się nie stało. Dla czegóż więc przerwałaś szczerą i ożywioną rozmowę swoją zemną? Czy obraziłam cię czem? Przypuszczam raczej co innego. Oto mniej niż wprzódy potrzebujesz dzielić się zemną myślami swemi, bo znalazłaś podział ich gdzieindziej. Pamiętasz jak przez kilka miesięcy mieszkając w Ongrodzie przychodziłam do ciebie co dzień przed południem i jak godzinami niekiedy czytywałyśmy wspólnie w twoim ślicznym pokoju? Czasem tyś malowała a ja opowiadałam ci różne fantastyczne pomysły obrazów i książek które przychodziły mi do głowy. Mówiłaś wtedy że godziny te były ci miłym wytchnieniem i czyniły zadość jednej z wewnętrznych potrzeb twoich. Teraz znalazł się tam blisko ciebie ktoś, z kim wśród ciszy porannych godzin, siadujesz niekiedy przed ogniem kominka, czytając i myśląc razem. Potem, pochwytują cię na dzień cały zwykłe zajęcia i starania, wieczorem czujesz się więcej znużoną i zamyśloną jak bywałaś dawniej i pisanie do mnie odkładasz z dnia na dzień? Prawda, Maryo, że tak jest jak się domyślam? Popraw się i pisz coprędzej bo mi jakoś niespokojnie robi się w sercu gdy myślę o tobie.

Klementyna.

(d. c. n.).

PODRÓŻ DO KRAINY BAJADEREK.

Część trzecia.

Bajaderki.

(Dokończenie).

Gromada słoni oswojonych zaspokoiwszy pragnienie, zwróciła swe kroki ku słoniom dzikim, idąc zawsze z miną niedbałą i od czasu do czasu zatrzymując się dla przyjęcia pożywienia. Zachowanie takie było nadzwyczajnie roztropne, to też nie obudziło najmniejszego podejrzenia.

Samica leżała spokojnie pod drzewem, a samiec gospodarował między krzakami, zrywając małe listki i pączki soczystych roślin. Skoro nareszcie dostrzegli grożące im niebezpieczeństwo, już nie było czasu na ucieczkę bo słonie oswojone pochwyciły ich silnie za trąby i zniewoliły do pozostania ich na miejscu. Wszelkie usiłowania do wydobycia się z pod przemocy najezdników były daremnemi. Słonie dzikie widząc swoją bezsilność, przywoływały rykiem na pomoc innych pobratymców, ale zamiast takowych, kierujący polowaniem wysłał pozostałe słonie oswojone na pole walki. Była to pomoc zbyteczna, bo dwóch słoni wystarcza do pokonania jednego. Moralny jednak wpływ był wielki, bo w obec tak widocznej przewagi nieprzyjaciela dzikie słonie zaniechały wszelkiego oporu czynnego, poprzestając na biernym, to jest chciały zostać na miejscu nieruchomo, przekładając stan obecny nad niepewną przyszłość.

Mandjari jednak znalazł środek na przełamanie oporu, bo zaczął ich okładać z całej siły swoją trąbą, tak że zmusił do zupełnej uległości.

Skoro nareszcie doprowadzono ich do naszego stanowiska, widok ludzi uczynił na nich nadzwyczajne wrażenie. Jeden z Indyan podszedł ku nim niezacznie; a rozkazawszy trzymać ich silnie, założył im na tylne nogi żelaza umyślnie na ten cel przygotowane. Pęta podobne zbezwładniały ich ruchy i słoń pojedynczy był dostatecznym do strzeżenia najsilniejszego przeciwnika.

Młody słoń podczas walki wydawał krzyki płaczliwe, a później bez oporu postępował za matką, to też pozostawiono mu najzupełniejszą swobodę.

Przez dobre obejście i obfitą żywność, słonie dzikie bardzo się prędko dają oswoić. Po trzech dniach można do nich przystąpić bez obawy, po ośmiu zdejmują im z nóg żelaza, a po miesiącu puszczone na wolność, przyjmują chętnie udział w pracach słoni oswojonych. Rzecz szczególna że zwycięzcy i zwyciężeni pozostają z sobą w jak najlepszych stosunkach, już nietylko później, ale nawet w kilka godzin po odbytem polowaniu. Słonie nie objawiają nigdy chęci wrócenia do swobody w puszczach lesistych, ale z kolei, chwytają dzikich swoich rodaków, z roztropnością wielką, jakby chciały dać dowód że odebrana lekcya nie była dla nich stracona.

Łowy na słonie skończone były o godzinie czwartej po południu, mieliśmy zatem kilka godzin czasu do rozporządzenia. Odesławszy słonie, służących i dojeżdżaczy do wioski indyjskiej Treply, gdzie mieliśmy noc przepędzić, sami postanowiliśmy zabawić się polowaniem na ceranki, bażanty, dzikie indory, zające i pawie znajdujące się tutaj w ogromnej ilości.

Zatrzymaliśmy tylko dwóch słoni z ich przewodnikami, a nadto został Amudu jako nieodstępny mój towarzysz. Pod opieką słoni nie zagrażało nam najmniejsze niebezpieczeństwo ze strony drapieżnych zwierząt.

Dla lepszego wypróbowania celności naszych strzałów, rozdzieliliśmy się w ten sposób: że sir John wraz z kapitanem angielskim siedząc na grzbiecie słonia nazwanego Balaja, udali się w górę rzeki Polliaar w nadziei spotkania uśpionych jeleni; a ja z majorem Daly, Amudu i słoniem Rohini mieliśmy zrobić półkole po nad bagnami i w punkcie oznaczonym zejść się z naszymi towarzyszami.

Przewodnicy słoni znali doskonale drogę i nie było najmniejszej obawy zabłąkania.

Z całą też swobodą oddaliśmy się polowaniu, zwłaszcza że zwierzyny było mnóstwo i nie zwracając wiele uwagi na kierunek drogi przebiegaliśmy płaszczyzny i wzgórza, nie myśląc wcale o tem, że może zanadto oddalamy się od oznaczonego punktu zebrania.

W istocie tak się stało, odeszliśmy zbyt daleko od drogi właściwej, i pomimo największego pośpiechu w powrocie zachód słońca zastał nas jeszcze w pustyni leśnej. Położenie było nadzwyczajnie przykrem, bo już w oddaleniu dawały się słyszeć głosy szakali będących zazwyczaj zapowiedzią niebezpieczniejszych zwierząt.

Gniewaliśmy się sami na siebie za naszą nieprzezorność, zwłaszcza, że byliśmy zagrożeni koniecznością przepędzenia nocy pod gołem niebem, z narażeniem się na rozliczne bardzo niebezpieczeństwa. Dla charakterystyki miejscowej nadmieniam, że przewodnicy słoni wiedzieli bardzo dobrze że zchodzimy z właściwej drogi, ale nie ostrzegli nas wcale, bo służba indyjska przemawia wtenczas tylko w obecności swoich przełożonych skoro jest o to wyraźnie zapytaną.

Naradziliśmy się wzajemnie z majorem Dali, co nam czynić wypada, gdy nagle słoń Rohini na którego grzbiecie siedzieliśmy wydał ryk straszliwy podniósł trąbę w górę i puścił się galopem pomimo usiłowań przewodnika chcącego zatrzymać go.

— Jaguar, zawołał Amudu.

Rzeczywiście na trzydzieści kroków przed nami, dojrzeliśmy jakąś czarną postać uciekającą w podskokach przed straszliwą trąbą słonia.

— Zginęliśmy, rzekł major, bo wpadniemy gdzie w bagno, które nas pochłonie.

Zaledwie wymówił te wyrazy, kiedy rzeczywiście Rohini pędząc jak szalony celem pochwycenia jaguara począł zapadać na ruchomym gruncie coraz bardziej, tak że nareszcie byłby się był zupełnie wraz z nami zanurzył w błocie, gdyby był nie pochwycił trąbą kilku trzcin bambusowych wyrosłych na gręskiem bagnie. Całym ciężarem ciała zawisł na bardzo wątłej podstawie.

Korzenie bambusu słabo osadzone w wodnistym mule łatwo mogły być wyrwanemi, a w takim razie bylibyśmy zatonęli nie pozostawiając po sobie najmniejszego śladu.

Położenie zaiste było rozpaczliwem, bo o ile mogliśmy sądzić przy zmroku wieczornym, znajdowaliśmy się w samym środku bagna i nie mieliśmy żadnego środka dostania się na brzeg suchy.

Przewodnik dawał nam radę aby wystrzałem karabinu w ucho zabić słonia, a tem samem zabezpieczywszy bambusy od wyrwania, zrobić z nich dla nas punkt podpory. Środek ten jednak oba z majorem odrzuciliśmy jednomyślnie bo zabijanie zwierza tyle rozumnego i tyle przywiązanego do człowieka byłoby okrucieństwem niczem niewypowiedzianem.

W odległości dwóch mil dostrzegliśmy zapalone ognisko prawdopodobnie z rozkazu sir Johna aby uchronić nas od zabłąkania.

Od czasu do czasu trask gałęzi i oczy świecące jak płomyki wskazywały obecność dzikich zwierząt, a krzyki puhacza siedzącego w krzakach, zdawały się nam zapowiadać smutny koniec.

Pomimo wysileń nadzwyczajnych biedny słoń zanurzał się coraz bardziej, a co gorsza że bambusy przedłużały się także, co było dowodem że ich korzenie są zrywane.

Amudu siedzący dotychczas w zamyśleniu rzekł:

— Za nim dwie godziny upłynie, pójdziemy na dno przepaści, chyba że...

— Chyba co? zapytałem żywo.

— Chyba, odpowiedział, że pójdziemy za radą przewodnika.

— Zabijać naszego poczciwego słonia! zawołałem ze zgrozą.

— Skoro idzie o ocalenie życia czterem ludziom, to trzeba poświęcić życie zwierzęcia rzekł major Daly głosem poważnym, który widocznie pod wpływem przykrych okoliczności zmienił myśl wyrażoną poprzednio.

Zdanie to było zanadto rozumne, aby można było opierać się mu, prosiłem więc jedynie aby środek ten był użytym nie inaczej jak tylko w ostateczności.

— To będzie zapóźno, odpowiedział Amudu, bo bambusy raz zerwane przestaną być podporą już nietylko dla słonia, ale i dla nas samych.

Nie umiejąc znaleźć odpowiedzi spuściłem smutnie głowę na piersi.

Amudu badał pilnie wyraz mej twarzy, a widząc ile myśl zabicia słonia sprawia mi przykrości rzekł niespodzianie:

— Jest jeszcze jeden środek ocalenia, którego użyję, pomimo niebezpieczeństwa na jakie będę narażonym. Za nim pogrążeni zostaliśmy w zupełnej ciemności badałem starannie tak położenie bagna jakoteż rośliny w nim rosnące, otóż jestem prawie pewny że brzeg wschodni znajduje się nie dalej jak na czterdzieści łokci. Dla dostania się tam użyję środka jakim często posługiwałem się przy przeprowadzaniu karawan w Afryce kiedy szło o przerzucenie liny na drugą stronę rzeki. Wlezę na wierzchołek jednego z najgrubszych bambusów, który ma wysokości około trzydziestu pięciu łokci. Na dany przeze mnie znak *cornac*, przewodnik, podetnie go u samej podstawy a ja spadając wraz z bambusem postaram się dosięgnąć brzegu.

Zamiar ten rzeczywiście był bardzo niebezpieczny, bo bambus zakreślając półkole z łatwością mógł być

złamanym, a nadto szczyt jego mógł niedosięgnąć brzegu a w każdym z tych wypadków śmierć Amudu była nieuchronna.

Na wszelkie jednak uwagi moje Amudu odpowiadał że zamiar swój przeprowadzi jak najszczęśliwiej, a w razie przeciwnym mówił z rezygnacyą: niech się stanie wola Allaha Objawiałem nawet gotowość zabicia biednego słonia, aby tylko nie narażać na niebezpieczeństwo poczciwego Amudu, ale ten pierwszy raz okazał mi jawne nieposłuszeństwo. Ze zręcznością kota, jednym skokiem pochwycił bambus najgrubszy, a opierając się o inne obok rosnące wdrapał się na jego szczyt. Przewodnik podciął bambus ten zakreślił półkole i po upływie kilku sekund usłyszeliśmy odgłos upadającego ciała.

Był to Amudu który stanąwszy szczęśliwie na brzegu wykrzyknął z radością:

— Allah jest wielki, oczekuje mnie cierpliwie, a wkrótce przybędę z pomocą.

— Unikaj bagien i jaguarów, wołał major.

— Bądźcie panowie spokojni, odpowiedział Amudu, zrodzony jestem w niższej Nubii, pokrytej wszerz i wzdłuż ogromnemi bagnami.

Poczciwy murzyn pobiegł szybko w kierunku roz palonego ognia. Przez czas jakiś słychać było odgłos jego kroków, a później nastąpiła cisza zupełna, przerywana tylko głosami wydawanemi przez nocne ptaki i dzikie zwierzęta.

W położeniu takiem zostawaliśmy całą godzinę, która nam się wydała wiekiem. Z pewnym niepokojem uważaliśmy że oddech słonia stawał się coraz bardziej przyspieszonym, sapanie jego było coraz silniejszem, co przypisywaliśmy zmęczeniu. Na szczęście przewodnik objaśnił nas, że to były tylko objawy gniewu słonia, czującego szakale i hyeny bezkarnie przechadzające się w pobliżu.

Zapalone ognisko dla ułatwienia nam kierunku w drodze, świeciło dawnym blaskiem długi czas nie dostrzegliśmy najmniejszego znaku śpieszącej dla nas pomocy.

Niespodzianie doszedł do naszych uszów odgłos dwóch strzałów karabinowych, co było znakiem że Amudu przybył na umówione miejsce. Odetchnęliśmy swobodniej, bo odtąd mieliśmy pewną nadzieję ocalenia.

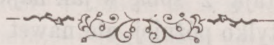
Czekaliśmy jednak najmniej pół godziny za nim dostrzegliśmy w oddaleniu szereg świateł zostających w ustawicznym ruchu, i zmierzających ku nam. Były to zapalone pochodnie w liczbie dziewięciu, co było najlepszym dowodem, że całe grono myśliwych ze słoniami pośpieszało nam na ratunek. Rzeczywiście niezadługo stanęli oni wraz z Amudu nad brzegiem bagna. Słonie wzajemnie powitały się straszliwym rykiem trwającym kilka minut, tak że naprawdę byliśmy ogłuszeni.

Sir John kazał ściąć w wiosce indyjskiej ogromne drzewo kokosowe, które słonie przyniosły na swoich grzbietach. Rzuciwszy je na bagno wytworzono most sztuczny, a po tym z największą łatwością dostaliśmy się na suchą ziemię. Wyprowadzenie słonia Rohini nastręczało więcej trudności. Trzeba było ze wszystkich stron zgromadzić kamienie i gałęzie, aby dać odpowiedniejszy punkt podpory dla ciężaru słonia. Nadto owiązano go sznurami, które dwa inne słonie stojące na brzegu podtrzymywały, zabezpieczając tem samem Rohiniego od nowego zagrząźnięcia po chwili przejścia.

Amudu był bohaterem tego wieczora, bo jemu zawdzięczaliśmy nasze ocalenie, ale też wynadgrodzonym był za to prawdziwie po królewsku. W chwili w której wdrapywał się na bambusowe drzewo, major Daly zachwycony jego poświęceniem obiecał obdarzyć go odpowiednio i dotrzymał słowa, bo dał mu weksel na 12 000 franków mający być wypłaconym w Kalkucie.

Kwota ta zapewniła poczciwemu murzynowi utrzymanie aż do śmierci.

W kilka dni później opuściłem wyspę Ceylan unosząc w duszy mej niezatarte wrażenia. Amudu również z żalem opuszczał tę krainę, bo stojąc na pokładzie okrętu, miał zwrócone oczy ku uciekającym brzegom wyspy, a twarz jego zalana była łzami.



LISTY Z TORUNIA.

M. D. Chamskiego.

I.

Rozpoczynając szereg listów o moralnej i obyczajowej fizyognomii społeczeństwa żyjącego i rozwijającego się pod warunkami, po największej części niezgodnymi z jego naturą i instynktami — przyznać muszę na samym wstępie, że nietylko skarżyć się nie mam prawa na brak materyału, ale przeciwnie, jest on tak obfity, iż w obec różnych okoliczności, trudno mi go nawet będzie zużytkować tak, jak na to w istocie zasługuje... W każdym jednak razie, postaram się wywiązać z zadania według sił moich, ożywiony tem głębokiem przekonaniem, że praca ta nie będzie bez pożytku i bez interesu...

Każdego, kto uważniej przypatruje się tutejszym stosunkom, uderzyć musi przedewszystkiem fizyognomia moralna ludu wiejskiego, który pod wieloma względami różni się od swoich braci w innych ziemiach dawnej Rzeczypospolitej polskiej, osiadłych. Jeżeli w ogóle lud polski, odznacza się, jak każdy zresztą lud, uczuciem silnego konserwatyzmu we wszystkich objawach życia obyczajowego i publicznego — to lud wiejski Prus Zachodnich i W. ks. Poznańskiego w zachowawczości swojej, nietylko jest on bezwiednym, lecz przeciwnie, okazuje wyraźne symptomata pewnych społecznych przekonań, które mu służą za tarczę przeciw germanizmowi. Germanizm ten, popierany energicznymi środkami z góry, szukał sobie różnych dróg wpływu, i w tem i w owem, udawało mu się to dość szczęśliwie — jednak pomimo tylu lat, po twardej skórze polskiego chłopa ośliznąć się musiał i na życiu obyczajowem ludu wiejskiego, nie zdołał wycisnąć żadnego piętna... Szlachtę pod wpływem germanizmu, broniła tradycya, mieszczaństwo ugięło karku i zniemczywszy się powierzchownie, serca i czucia zachowało czyste, lud zaś wiejski, otoczywszy się murem bierności i trzymając się ziemi, na której się urodził, pozostał nieskazitelny pod względem obyczajowym i pod względem religijnym, i nawet pod względem politycznym. Jeżeli na kim, to niezawodnie na wieśniaku polskim w monarchii pruskiej, okazuje się ta niespożyta natura słowiańskiego plemienia, które w pośród powodzeń rozstrajającej niemieckiej cywilizacyi, nieprzyjęło do swego organizmu żadnego z tych pierwiastków, któryby owocami swoimi zeszpecił duchowe oblicze i utorował drogę do powolnej zagłady rasowej indywidualności.

Przedewszystkiem więc przypatrzmy się bliżej temu ludowi wiejskiemu. Naturalnie — trudno mi jest zaznaczać bardzo delikatne odcienia różnic, jakie istnieją pomiędzy ludem wiejskim w Poznańskiem i w Prusach zachodnich — w ogóle lud wiejski tutejszy składają: Mazury, Kujawiacy i Kaszubi.

Ci ostatni, zamieszkujący na powiślach, zsuwających się ku Bałtykowi, już od bardzo dawna wystawieni byli na ataki germanizacyjnego prądu i dziwić się, doprawdy, trzeba, jakim sposobem ludzie ci, zachowali swoją indywidualność narodową, zwłaszcza, że dość szerokimi pasami kolonii niemieckich, odcięci zostali od reszty macierzystego kraju. O tych Kaszubach, możnaby napisać oddzielne, i bardzo obszerne etyczne studyum — i miejmy nadzieję, że ktoś z naszych kompetentnych pracowników, zabierze się do tego, zaprawdę, wdzięcznego przedmiotu. Co do mnie, ponieważ na Kaszubach nie byłem i ludu tego zblizka nie znam, zrobiwszy tę małą o nich wzmiankę, pominąć ich jestem zmuszony. Kaszubi zamieszkują okolice około, lub bliżej Gdańska położone.

Lud wiejski Prus Zachodnich i całego Poznańskiego, jakkolwiek zewnętrznie różni się między sobą ubiorem i pewnemi miejscowemi właściwościami — w ogóle jednak pod względem obyczajowym, jest jednaki. Charakterystyczną jednak jest ta okoliczność, że mazury, na ziemiach chełmińskiej i michałowskiej, które przytykają do granicy od strony gubernii płockiej, którzy są temi samemi mazurami, jacy w płockiem zamieszkują — nie uważają się za mazurów. Chłop np. z pod Torunia lub Chełmna śpiewa:

> Kiedy ja pójdę na ślepe mazury,
> Może się udam mazureczce której...
> A jak mnie będą mazurowie gonić —
> Będzie mnie wtedy mazureczka bronić...
> Wyjmę ja, wyjmę, piszczałkę z za pasa
> Hop, sa! sa! Hop, sa! sa!
> Mazury w nogi! do lasa!

Nie ja pierwszy, ma się rozumieć, zwracam uwagę, że lud prosty kilkoma wierszami jakiejś piosnki dobitnie maluje swoje położenie. Szukać autora takiej piosnki, jest rzeczą do niczego nie prowadzącą, bo go nikt i nigdzie nie odnajdzie. Jest to właśnie charakterystyczną cechą ludowej poezyi.

Uwaga powyższa przyszła mi właśnie na myśl, gdym się w różnych okolicach Poznańskiego i Prus Zachodnich spotkał w ustach ludu z pieśnią, bardzo krótką, bo zaledwie sześć wierszy mającą, które z dziwnie przejmującą prawdą i poezyą określa stosunek tuziemców do niemieckich przybyszów. Oto jest:

> Oj, przyszedł niemiec na ziemię naszą,
> Oj, przyszedł z torbą, a w torbie z kaszą.
> Oj, teraz niemiec po ziemi naszej
> Jeździ *karytą*, ale bez kaszy —
> Bo zamiast torby i zamiast kaszy,
> Krzywda mu wisi na ziemi naszej.

Względnie do tutejszych stosunków, trudno jest lepiej określić położenie eksploatowanych i eksploatujących, a przy tej, że się tak wyrażę, bezwiednej ekonomicznej dokładności, skarga wypowiedziana jest z tą głęboką prostotą poetyczną, jaka cechuje szczep słowiański, który, gdy sercem poruszają uczucia szerokiej a ogólnej natury — skarga najczęściej wybiega na usta w postaci prawdziwej poetycznej perły.

Powiedziałem nieco wyżej, iż główną cechą tutejszego ludu wiejskiego, jest bardzo silny konserwatyzm. Otóż ten konserwatyzm w obyczajach sprawił to, że wiele rzeczy, które w innych stronach albo zupełnie zostały zarzucone, albo, jeśli się praktykują, to tylko powierzchownie, tu, lud wiejski, takie zwyczaje zachowuje z najskrupulatniejszą drobiazgowością. Wszelkiego rodzaju obrzędy przy weselach, chrzcinach i t. p. zachowywane są z tak ścisłą formalnością, jakby to był przepisany ceremoniał, od którego ani na jotę odstąpić nie wolno. Skutkiem tego, zachowały się pewne zwyczaje, jakie trudno spotkać gdzieindziej. Tak np. lud tutejszy do dzisiejszego dnia przechowuje zwyczaj zapraszania na wesele w zupełnie oryginalny sposób, mianowicie za

pośrednictwem oracyi, raz na zawsze ułożonej, naturalnie przez nieznanego nikomu autora. *Oracya* ta nosi na sobie cechę nie dzisiejszą, a tak jest pod względem formy, humoru i myśli niezwykła, że w literaturze gminnej prawdziwym jest brylantem. Pomimo tego nie znajduje się ona w żadnym zbiorze pieśni ludowych, jaki literatura nasza posiada. Podaję ją tu w całości, nic nie ujmując i nic nie dodając:

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!
Winszujemy dnia dzisiejszego,
Nie dla kogo inszego —
Jeno dla pana ojca, i dla pani matki,
I dla państwa młodych obojga,
Co się zabierają do stanu małżeńskiego.
To się nie za nas poczęło,
I nie za nas się skończy —
Tylko się poczęło z Trójcy Świętej,
I z żebra Adamowego —
Z tych ludzi, co to nie usłuchali
Przykazania Bożego,
A Ewa ugryzłą jabłonką zgrzeszyła,
Gdy ją Adamowi życzyła,
By mu się podobała na wieki!...
Zebrano nas dwóch braci
I wysłano w daleką drogę,
Żebyśmy sławetnego pana ojca,
I sławetną panią matkę, prosili.
Więc my też was prosimy,
I niziuteńko ukłon oddajemy...
Szlim nad wodą, rybki się pluskały,
Szlim po nad gaikiem — ptaszęta śpiewały,
A najmniejsze ptaszęta pod obłoki wzlatywały.
Mówi jedno do drugiego:
Pomóżcie wić gniazdka mego?...
Tak też nasz pan młody,
Szukał do swojej podoby, —
A jak do podoby sobie znalazł,
Do Świętego Sakramentu zaraz się chce udać —
A my drużbowie prosimy was —
Kochani panie ojciec i pani matko,
Na krótkie poznanie,
Na długie pocieszenie,
Na sondek miodu starego,
Na dwie beczki piwa młodego,
Na dwa pieczywa chleba:
Na jedno pszennego,
Na drugie rżanego —
A potem na kołacze,
Co sama gęba do nich skacze...
Jeden wół na krępulcu jęczy,
Drugi na kolanach klęczy,
Trzeci rogami szturmuje,
Bo rzeźnika w domu czuje...
I na wieprza tuczonego,
I na zajączka szpilkowanego.
Będzie tam i parę kokoszy,
Jeźli ich jastrząb' w pole nie wypłoszy...
Będzie też tam dwóch graczy:
Jeden będzie grał na kobzie,
Drugi też dobrze;
Będą tam i skrzypki,
A to na to, kto ma taniec chybki —
Będzie tam i bas.
Kto się naje i napije,
Pójdzie do dom wczas;
My zaś drużbowie, prosimy sławetne państwo o koniczki
I o wóz pod druchniczki,
Bo my u siebie tyla nie mamy,
Ale się u sławetnego państwa łaski spodziewamy!
Wy druchny, druchniczki
Fałdujta spódniczki,
Podwiążta pończoszki
Tasiemeczkami z jedwabiu,
Żeby się wam trzymały,
Byście pannie młodej wstydu nie zadały;
A toć nam raz się tak stało,
Że się druchniątko w kościele zdrzemało —
Lepiej byłoby, aby w domu została,
Groch kapustę gotowała!..
A i wy młodziankowie
Sukmanki fałdujcie,
Buciki smarujcie,
Żebyście panu młodemu wstydu nie zrobili.
Kto będzie miał ochotę zabawić się do wtorku,
Niech nie zapomni o dobrym worku,
A kto będzie miał z sobą pieniędzy nie wiele,
Przyjdzie do domu w niedzielę...
Sławetny panie ojciec i pani matko,
Darujcie, jeżli nie zewszystkiem poszło nam tu gładko
Bośmy nie uczeni w szkole,
Jeno przy cepach w stodole —
Boć nasza szkoła —
Cepy i stodoła —
Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!...

Długa ta oracya, którą w całości pomieściłem, nosi na sobie niezaprzeczone piętno twórczości ludowej, jest w niej fantazya, pewnego rodzaju naturalna zamaszystość, myśl głębsza przy często zaniedbanej formie i przedziwny humor. Oracya ta, już ze względu na pewne właściwości tego humoru, jest niezawodnie płodem kujawskiej muzy; kujawiak bowiem jest najweselszym i najdowcipniejszym w pośród całego ludu. Pod wieloma względami przewyższa on krakowiaka, bo humor jego zaprawiony jest najczęściej szlachetną ironią, melancholią, i pewnym naturalnym filantropicznym poglądem na życie i ludzi. Przytem, lud kujawski w pieśniach swoich, wyraża wewnętrzną smętność — znać, iż z samego dna serca wydobywa się nuta przeciągła, rzewna, a tak tryskająca życiem i wpadająca do innego serca strumieniami dziwnie kojącego balsamu. Któż z nas nie zna tej nuty *kujawiaka*, kto się nie wsłuchiwał w te tony proste, a tak głębokie, że jednocześnie i łza się kręci i serce raźniej skacze, i noga niespokojnie posuwa się po ziemi, i człek radby na wszystkie strony dzielić się przejmującą go radością.

Że powyżej przytoczona oracya, jest utworem wyrosłym na kujawskim gruncie, przemawia jeszcze zatem i ta okoliczność, iż lud kujawski w okolicach np. Inowrocławia i Gniewkowa, a zatem na prawdziwych Kujawach, posługuje się nią przy obrzędach weselnych, tymczasem na tak nazwanych ślepych mazurach, ani tu w okolicach Torunia, Brodnicy i Chełmna, ani w okolicach Sierpca, Mławy i Płocka z podobnego rodzaju utworem ludowym nie spotkaliśmy się. Czysty mazur, dowcipkuje często w pieśni, aby dowcipkować, choćby bez myśli — ot np.

Oj, jechałem do Poznania —
Baba sieje, mak, mak, mak..!
Mówię babie: szczęść wam Boże!
Baba mówi: tak, tak, tak...

Kujawiak zaś, jeśli w piosence nie ukrywa głębszej myśli, to przynajmniej sercowe afekta umie plastycznie przedstawić:

Gdzie ja jadę, to ja jadę,
Mam koniki skarogniade —
Z prawej ręki batem ciskam,
Lewą ręką pannę ściskam.

Już to w sercowych uczuciach kujawiak jest bardzo zapamiętały, a gorący, jak rozżarzony węgiel. Wszak sam o sobie śpiewa:

Miesiąc świeci, słońce grzeje,
Do dziewczyny serce mdleje...
A choć matka, kiedy lato,
Nie chwali nas nigdy za to,
A i ojciec, kiedy zima
Bije w skórę, co godzina —
To my na to, nic nie dbamy,
Przy spotkaniu — uściskamy...

A drażliwy jest też kujawiak na wszystko, co się tyczy gospodarstwa domowego; bezwarunkowo wymaga od kobiety, aby była dobrą gospodynią, znała się na wszystkiem i umiała wszystko zrobić. Z niegospodarnych kobiet szydzi nielitościwie i śpiewa:

Cztery ściany, cztery progi, piąty piec,
Nie umiała panna młoda chleba piec...
Jeno jeden bocheneczek upiekła,
I jeszcze z nim do komory uciekła...

Rozpacza także i sama dziewczyna:

Pocóżeś mnie matuleńko za mąż wydała,
Kiedymże się w gospodarstwie nie rozeznała...
Ni ja oprać, ni ja uszyć, matulo moja!
Wszystkiego się muszę uczyć, matulu moja!
Oj, matulu ciężkie życie, widzi to Bóg z nieba,
Nie czas teraz na naukę, kiedy nie ma chleba...

Pomiędzy ludem tutejszym spotkać się można bardzo często z krótkiemi przyśpiewkami, w których z dosadną satyrycznością, malowani są Niemcy, to właśnie, co wieśniaka najmocniej boli, że aż rad żółć swoją wylać. Więc z szyderskim uśmiechem na ustach śpiewa:

Poszedł Niemiec za stodołę,
Zobaczył Marynę...
Oj, spoglądał, oj spoglądał,
A połykał ślinę...
A Maryśka taka była,
Że mu zęby dwa wybiła!...

albo:
Ożenił się Niemiec z naszą,
Karmił żonę samą kaszą,
A sam *śpek* zajadał...
Kobieta se uprzykrzyła;
I wej Niemca porzuciła —
Biadał Niemiec, biadał...
Tedy prośbę do niej nosi,
I do domu nazad prosi:
,,Choćbyś cały był wej złoty
Brylantów miał worek,
Nie chcę Niemca, nie chcę Niemca—
Niech go tam pomorek!...
Oczyszczę się, wyspowiadam
Umyślnie w kościele,
Że u Niemca byłam żoną,
Bez cztery niedziele...

Poznańskie i Prusy Zachodnie mogą to powiedzieć z dumą, że posiadają lud wiejski, jeden z najbardziej wykształconych w Europie. Składały się na to różne okoliczności, a najprzeważniej ta, że stosunek pomiędzy chatą wieśniaczą a dworem, oddawna uregulowany został. Nie ma tu nigdy żadnych zatargów pod tym względem — najprzykładniejsza panuje harmonia; ztąd wpływ inteligencyi na lud, jest widoczny i w życiu publicznem wydał zbawienne owoce. Jeżeli gdzieindziej lud w pracach społecznych stoi na uboczu i nawet nie rozumie, co się naokoło niego dzieje, tu przeciwnie, bez ludu wiejskiego nic się nie robi, i cały dobry rezultat od niego przeważnie zależy.

Trzeba wiedzieć, co się tu np. dzieje podczas wyborów do parlamentu niemieckiego lub sejmu pruskiego. Silna agitacya ze strony niemieckiej, wywołuje pomiędzy całem tutejszem społeczeństwem polskiem ruch ogromny. Zwycięztwo przy urnie wyborczej polega na ludzie wiejskim i miejskim, pomiędzy więc temi warstwami wre i kipi życie, a jakkolwiek Niemcy mają bardzo silne poparcie władzy, wszelkich organów policyjnych i w propagandzie używają środków, które się nie godzą z uczuciem szlachetnej emulacyi — jednak po większej części kandydaci polscy na posłów, jeżeli są zwyciężeni przez Niemców tu i owdzie, to zawdzięczać należy nadużyciom, albo tendencyjnemu układowi listy tych, którzy mają prawo głosować.

W dzień wyborów, w miastach i miasteczkach, około miejsca gdzie głosują, gromady ludu snują się, a w pośród nich uwijają się agitatorowie rozdając kartki na wszystkie strony i objaśniając kogo należy wybrać i kogo potrzeba. Chłop wiejski służący we dworze u właściciela, lub dzierżawcy Niemca, narażony jest ze strony chlebodawcy i jego oficyalistów także Niemców, na dotkliwy nacisk. Najwięcej zagrożony jest utratą służby, jeżeli nie odda kartki niemieckiej. Ale wieśniak nasz, choć pobożny, cichy i niby pięciu zliczyć nie umiejący, okazuje wiele sprytu, gdy idzie o sprawę dotykającą jego sumienia. Widziałem też taki obrazek w Toruniu podczas ostatnich wyborów do parlamentu, które się odbyły w styczniu b. r. Do sali wyborczej znajdującej się na Starym Rynku, rządzca, czyli, jak go tu nazywają inspektor Niemiec, z pewnego okolicznego majątku należącego do Niemca, przyprowadził pra-

wie za kołnierz furmana i wcisnął mu już na progu sali w ręce kartkę z niemieckim kandydatem zalecając, aby takową do urny wrzucił. Niemiec nie dowierzał polskiemu furmanowi i śledził go do ostatka. Gdy furman zbliża się już do urny, przystępuje do niego, nieznacznie jakiś wyrobnik widocznie z Torunia, i musiał wiedzieć co się święci, bo wykrzywiając usta odzywa się do furmana:

— Jasiek! a masz ty Boga w sercu?...

— O, gdzie bym Go wej podział!...

— Pamiętaj i pogroził na nosie...

W kilka chwil nasz furman wraca od urny — ten sam zapytuje go:

— No, a co?...

— A cóż — dobrze...

— Jakieś zrobił?

— A to wej za pazuchą miałem polską kartkę, tam wej *naszygo* wścibił do *parlamyntu*, a *miemca zjatem*. Ino bestya taki suchy, że mi w gardle stoi, to chodźma się czego napić...

Przegląd literacki.

Słówko o skażeniu języka polskiego i o dziełku

Błędy nasze w mowie i w piśmie ku szkodzie języka polskiego popełniane, oraz prowincyonalizmy. Zebrał Aleksander Walicki. Warszawa 1876.

(Dokończenie).

Mówiąc o błędnem używaniu przysłówka *jak*, szkoda że autor zupełnie pominął milczeniem równie pospolity i równie uporczywy, warszawski błąd a używaniu zaimka *jaki* zam. *który* (np. „obiad *jaki* nam podano, była to uczta“ W. Morzkowska Złote Runo; „kłótnia *jaka* powstała“ Kur. Warsz. 1877 N. 11 str. 3; „wypadek *jaki* się zdarzył“ tamże str. 4; „jeden jeszcze smutny wypadek *jaki* miał dziś miejsce“ Kur. Warsz. 1877 N. 17 str. 3 i t. d. Wyrażeń *mam już dosyć* i *rozumie się* nie uznawalibyśmy z autorem za błędne, gdyż to są tylko skrócenia; wszak pierwszego pozwala używać sam autor z dopełnieniem (czego np. *kłopotów*), a więc to dopełnienie może być łatwo opuszczone, jeśli go bez trudności można się domyślić, wyrażenie zaś *rozumie się* jest także skróceniem z *to się łatwo rozumie*, *to rozumie się samo przez się*. Francuzkie *j'en ai assez* i niemieckie *versteht sich* bynajmniej nie dowodzą, że powyższe polskie wyrażenia wzięte są z tych języków: są to tylko zwroty podobne, odpowiednie, a takich znajduje się niemało. Nadto polskie *dosyć*, jest skróceniem z *do sytości*, *do syta*, a więc *mam dosyć* znaczy *mam do syta* — jestem *syt*, a tego odcienia francuzki przysłówek *assez* nie posiada.

O nadużywaniu w Królestwie przekładni zaimka *się*, która, bądź co bądź, ma swoje granice (o których tu mówić byłoby zadługo), autor przemilczał. Przytoczymy na str. 8 przykład „*taki* ze mnie cacka“ świadczy, że ten ostatni wyraz był używanym nietylko, jak mówi autor, w rodzajach żeńskim i nijakim, ale nawet w męzkim.

W zupełnie słusznych zresztą uwagach o upowszechnionem, logicznie błędnem wyrażeniu *większa połowa*, autor błędnie tylko utrzymuje, jakoby ten błąd istniał *we wszystkich językach* (str. 65). Możemy naprzód zapewnić, że w językach greckim i łacińskim, które przedewszystkiem dbały o logiczność, błędu tego nigdy nie znano: po grecku mówiono *to pléion*, *tá pleista* albo *tó poly' tá pollá*, *tó pléiston méros* — co wszystko znaczy *większość*, *większa część*, ale nigdy nie mówiono *to pléion hémisy* (większa połowa); również po łacinie mówi się *magna pars*, *major pars* albo *maxima pars*, ale nigdy *majus dimidium*. Nawet co się tyczy języków nowszych, u lepszych pisarzy francuzkich i niemieckich napotykamy tylko *le plus grand parti*, *la plupart*, *der grössere Theil*, *der gröste Theil*, *die Mehrzahl*; błędnych zaś wyrażeń *la plus grande moitié*, i *die grössere Hälfte* nie napotykałem zbyt często, choć może i trafiają się niekiedy. Mniemam nawet, że i rosyjskie dość upowszechnione *bólszaja połowina* (którego naśladowanie wyrodziło może ten błąd i w naszym języku) musiało powstać przez nieuwagę, z prawidłowego wyrażenia *bólsze połowiny* (więcej niż połowa). Mówiąc o wyrazach *naprzeciw* i *naprzeciwko*, wypadało dodać, że są one przysłówkami wtedy, gdy używają się z przypadkiem 2-gim. O różnicy pomiędzy wyrażeniami, *tym razem* i *tą razą*, autor rozszerza się za rozwlekle. Nadto nie zgadzamy się z nim wcale, ażeby koniecznie, dla oznaczenia powtórzenia, używać formy żeńskiej — *tą razą* — wyróżnienie to bowiem nie jest powszechne i ta ostatnia forma może być tylko tolerowaną. Co do błędnego używania czasownika *robić*, zgadzamy się z autorem we wszystkiem, oprócz jednego tylko wyrażenia *nic sobie z tego nie robię*, którego niepodobna potępić bezwarunkowo, jako powszechnie używanego i ani gramatycznego błędu ani sprzeczności logicznej w sobie nie zawierającego. Co się tyczy błędnego wyrażenia *wieczór* (zam. *wieczorem*), autor wyprowadza je z analogii z wyrażeniem *rano*, ale nam się zdaje że musiało ono raczej powstać ze zlania w jedno z przyimkiem *w* zam. *w wieczór*, przez analogią z wyrażeniem *w dzień*. Mówiąc o błędnem wyrażeniu *w skutku*, autor porównywa je z wyrażeniem *w głowę*, ale zaniedbał zaznaczyć że trzeba mówić *wskutek* dla tego, że jest to *przyimek złożony* (jak np. *naprzekór*, *wbrew*). Wyrażenia *zastosować w praktyce* nie możemy uznać z autorem za błędne, a jego dowodzenia, że jest to pleonazm, za słuszne, gdyż *zastosować* można, i w teoryi (np. zastosowanie algebry do geometryi, zastosować prawidła łacińskie do gramatyki polskiej i t. p. Co do zaimka *żaden*, podobno nikt nie popełnia u nas takiego błędu „żadną osobę tam spotkałem“ przytoczonego przez autora (str. 100), a wyrażenie „dowody twoje są żadne“ nie jest wyłącznie germanizmem, gdyż istnieje także w jęz. łacińskim (argumenta nulla sunt) i dla tego podobne wyrażenia, napotykamy nawet u pisarzy XVI w. *Żeby*, które oznacza nietylko *życzenie*, jak mówi autor na str. 102, ale także i *cel*, istotnie błędnie jest używanem zam. *gdyby*, ale z błędem odwrotnym nie zdarzyło się nam nigdy spotkać i podobno nikt nigdzie nie powie ani nie napisze „pragnę *gdyby* się to stało“ (str. 102). Zarzutu tego, że prostuje błędy nieistniejące i przez nikogo nie popełniane — którego i kto inny może nieraz użyć przeciwko autorowi — najłatwiej byłoby uniknąć, przytaczając więcej dowodów *czarno na białem*, to jest wyjątków z pism drukowanych.

Nakoniec zmuszeni jesteśmy wytknąć błędy, które sam pan A. W. w swojej broszurce popełnia. Czasownik *używać* rządzący po polsku przyp. 2-m, u autora wszędzie rządzi przypadkiem 4-m, („wiele osób *używa ten wyraz*“ str. 17; na Litwie powszechnie *ten wyraz* używają“ str. 20; „nie mogę z pewnością powiedzieć, kto *je* pierwszy użył“ str. 35). O ruchomych końcówkach *m*, *ś* i t. d. mówi autor w swej książeczce, że Litwini rzadko ich używają, ale sam pan W. wpada w drugą ostateczność, gdyż stale prawie łączy te końcówki z nieodmiennemi częściami mowy, co choć nie jest stanowczym błędem, ale zawsze jest nadużyciem i niemiłą trochę afektacyą. Tak np. na jednej str. VII (przedmowy) znajdujemy: *jeżeliście*, *toście*, *nigdyście*, *żeście*, *mądrzeście*, *tożbyście*. Na str. VI tejże przedmowy mamy *odpowiedny* (zam. *odpowiedni*); na str. VI „poprawność języka *jakim* mówicie (zam. *którym*); rusycyzmy *bezustanny*, *bezustannie* (zam. *nieustanny*, *ustawiczny*) w wielu miejscach (np. VII, X, 5, 90. Na str. 70 autor zaleca błędną formę *wzrąść*—ma być *wzią-ć*, jak *dąć*, gdyż *s* nie ma tu racyi bytu; co innego np. *trząś-ć*, gdzie *s* należy do źródłosłowu, albo *siąś-ć*, gdzie ono zastępuje miejsce *d* zam. *siąd-ć*. Na str. 84 mamy „woda *zasłodzona* (zam. *osłodzona*). Niemożna też przystać na wyrażenie: *na wyśmianie* ich mowy ułożono i t. d. (str. 58 zam. *dla* wyśmiania albo *w celu wyśmiania*); trudno także przystać i na twierdzenie, że język *zbudowany jest z myśli* (przedm. II). Niekiedy autor odstępuje od przyjętej przez siebie pisowni: np. na str. 35 znajdujemy *nie wielką* i *niepotrzebowano*.

Ostatecznie, jak to powyższy rozbiór wykazuje, praca pana A. W. mało ma wartości naukowej i zawiera nie wiele żywotnego, że tak powiemy, materyału. Nie żal nam jednak, żeśmy się tyle o niej rozszerzyli, z uwagi na ważność przedmiotu i dobre chęci autora. Cząstkę pożytku może i ta mała broszurka przyniesie, zwłaszcza jeśli będzie początkiem dalszych gruntowniejszych prac autora na tem polu i zachętą dla innych do żmudnej i niewdzięcznej, ale obywatelskiej i chlubnej pracy — ratowania mowy ojczystej od zepsucia i upadku. *L. S. W.*

Opis ryciny kolorowej.

Figura 1. Suknia z vetement. Suknia z czarnej materyi faille, formą princesse, bez rękawów, oszyta u dołu szeroką falbaną z nagłówkiem, plisowaną i dwa razy przestębnowaną; długie vétement z jedwabnej grenadyny w paski, suto z tyłu udrapowane, ozdobione koronką i kokardami. Rękawy koronkowe zakończone riuszą z pod której spada szeroka koronka. Kryza i żabot koronkowy, rozchodzący się na dwie strony koło guzików zapinających vétement, podłożone są repsem koloru *tilleul*, ukrojonym skośno i uplisowanym w podłużne fałdy. Kokardy i plisowanie objęte takimże repsem.

Fig. 2. Ubranie z koronkową chusteczką. Suknia z lila muślinu, formą princesse, z podłużnym wykrojem i zapinana z tyłu, przybrana do koła plisowanemi falbankami; przód ozdobiony plisowaniem zakończonem koronką, i z boków przytwierdzonem kokardami do tylnego bryta. Pół długie rękawy, przybrane plisowaniem i riuszą, zakończa niciana koronka koloru *ivoire*; chusteczka z takiejże koronki.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami i rycina kolorowa.



ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава 1 (13) Августа 1877 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Elektoralna N. 758 (28).

Dodatek.

Opis do N. 33.

N. 1. Ubranie letnie z vêtement.

To lekkie i świeże ubranie odrobić można z białego albo kolorowego muślinu, batystu albo płótna. Plisowanie drobniutko układane 10, 8 i 4 cent. szerokie z tego samego materyału, wstawki 3 cent. i koronka 8 i 4 cent. szeroka służą do garnirunku. Koronki robione na tiulu albo *torchons* są wszędzie trochę przymarszczone. Vêtement przykrojone z małemi odmianami podług formy do ryc. 34 w N. 25 Tygodnika, zapinane jest z przodu na płaskie guziki z kości lub konchy perłowej, a plisowanie i koronka idące przez środek od dołu aż do wykroju pod szyją, przykrywają zapięcie. Wachlarzowy garnirunek przykrywający przedłużenie szwu środkowego pleców, układa się na oddzielnym, 3 cent szerokim pasku, i zakończa w górze kokardą, oszytą koroneczką. Bardzo ozdobne do lekkich sukien rękawy ze wstawkami, są przy ręku 3 razy oszyte plisowaniem, między którem dodane przewinięcie z dwóch prostych, koronką oszytych kawałków. Do kolorowej sukni parasolik i ubranie kapelusza powinny być takiej samej barwy, do białej każde jest odpowiednie.

N. 2. Suknia princesse z upięciem szalowem.

Szafirowa suknia princesse, z materyału letniego zwanego *Zefir*, zdobna jest dwoma, wązką koroneczką oszytemi, drobno plisowanemi falbankami, 8—10 cent. szerokiemi i plisą 4 1/2 cent. szeroką. Szalowe upięcie na sukni, układa się z bryta 80 cent. szerokiego, u dołu oszytego skośnym wolantem, 19 cent. szerokiego, zakończonym koronką 5 cent. szeroką, na który spada 8 cent. szerokie plisowanie, przyszyte plisą 4 1/2 cent. szeroką. Zchodzące się z tyłu brzegi zapinają się lub wiążą pod długim węzłem, ułożonym z prostego bryta, przyfałdowanego do 40 cent., którego garnirowany koniec, luźno spaszczony jest na tren.

N. 3—4. Koronka i wstawka szydełkowa z tasiemeczką koronkową.

Łatwa, wyraźnie odrysowana koronka mało potrzebuje objaśnień. Pas środkowy między tasiemkami odrabia się w ten sposób *1 ści. o. w brzeg tasiemeczki, 13 o. pow., z których 9 końcowych złączyć na pentelkę obrobioną 2 o. ści., 8 słup., znów 2 o. ści 3 o. pow. Powtarzać od gwiazdki. W drugim rzędzie * 1 o. ści. zaczepione w muszkę poprzedzającego rzędu, 6 o. pow., 1 o. ści. za brzeg drugiej tasiemki, 2 o. pow., 1 ści. w 4-te z sześciu pow., 3 pow. i powtarzać od gwiazdki. Obrobienie zębów słupkami i przyczepienie do poprzedzającej tasiemki dokładnie wskazane na próbce, nadmieniemy tylko że muszki w górnem zagłębieniu zębów, robią się razem przy obrabianiu słupkami w ten sposób: Przy 4-tym w górę zęba idącym słup., zrobić 6 o. pow. przyrobionych 1 o. ści., w słupek na przeciw leżący, 6 o. pow., 1 o. ści. łańcuszkowe w pierwsze z 6-ciu pow. poprzedzających, znów 6 o. pow. przyrobionych 1 o. ści. łań. w ten sam słupek co pierwsze, a nakoniec obadwa górne łańcuszki z o. pow., obrobić razem 2 o. ści., 8 słup., 2 o. ści, i 1 o. ści. łań. w słupek przy którym zaczęliśmy muszkę. Wstawkę w której liczba rzędów może być dowolnie powiększana lub zmniejszana, robi się tak samo jak pasek górny przy koronce.

N. 5. Koronka szydełkowa z medaljonową mignardisse i tasiemeczką koronkową.

Najpierw dorabia się widoczne przy medaljonach listki szydełkowe złożone z 5 o. pow., 1 o. ści., w pikot, 2 o. pow, 1 o. ści. w drugi najbliższy pikot, potem 3 słup. i 2 o. ści w 5 poprzedzających o. pow.; drugi takiż sam listek przyrabia się do drugiego medaljonu, nitkę się ucina a końce starannie z lewej strony mocuje. Po odrobieniu oddzielnie wszystkich podwójnych listków od dołu i od góry, obrabia się pierwszy rząd medaljonów po brzegach o. pow. i słupkami, sposobem wyraźnie wskazanym na próbce, dodaje drabinkę ze słópków, u której u dołu przyczepia się zarazem za pikoty tasiemeczka koronkowa, wyszyta bawełną kolorową. Drugi rząd medaljonów obrobiony u dołu ząbkami, osoby wprawne w robotę szydełkową wykonają bez opisu.

N. 6—7. Koronka i wstawka z kwadratów szydełkowych.

Koronka składa się z kwadratów odrabianych oddzielnie, a następnie łączonych o. ści. i pentelkami z o. powietrznych. Każden kwadrat zaczyna się 11 o. łańcuszka, z których 3 ostatnie stanowić będą słupek brzeżny następującego rzędu, obrabiają się 4-ry razy słupkami przedzielanemi 1 o. pow., a następnie w koło ząbkami z 2 o. ści. i dwóch słupków. W rogach dodaje się więcej słupków, przy obrabianiu łączy się kwadraty ze sobą a na koniec dodaje się obrobienie górne. We wstawce kwadraty są większe bo słupki przedzielają 2 o. pow., w ząbkach daje się po 2 o. ści. i 3 słup., a w narożnych 4—5 słupków.



N. 1. Suknia z vêtement. N. 2. Suknia princesse z upięciem.

N. 8. Koszyczek z taśmy (gortowej) 2 1/2 cent. szerokiej.

Koszyczek plecie się z gortu kolorowego i zdobi wyszyciem z kolorowej włóczki. Do żądanej wielkości koszyczka, stosuje się ilość potrzebnych pasów. Na kratę skośną jak na ryc. 8, robotę zaczyna się od dna, a następnie nie dodaje nowych pasów na boki tylko końce tych samych załamuje do góry. Najlepiej model koszyczka wypróbować w zmniejszeniu z papieru złożonego podwójnie. Na koszyczek którego dno ma 12 cent. długości a 8 szerokości, a boki 6 cent. wysokości, potrzeba dwa kawałki gortu popielatego 32 cent. długie, cztery po 29 cent. i cztery po 23, od środka stopniowo na krzyż kładzione przeplatają się w koło płasko na dno a następnie podnoszą na boki. Po skończeniu roboty brzeg się obcina równo, obejmuje taśmą wełnianą, 1 cent. szeroką, przyszywa się z wierzchu pałączek 20 cent. długi, którego przyszycie przykrywa riusza z taśmy ponsowej wełnianej, 2 cent. szerokiej. Wyszycie włóczkowe, którego ściegi niepowinny być z lewej strony znaczne, najlepiej dawać na pasach w jednym ciągu, przed pleceniem.

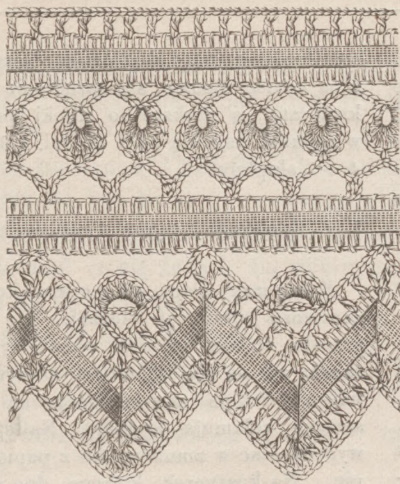
N. 9—12 i ryc. 20—21 w N. 34 Tygodnika. Wzór roboty szydełkowej na kołdrę albo kołderkę dziecinną.

Małą kołderkę 100 cent. długą a 80 cent. szeroką, robi się z włóczki angielskiej. Kołdrę dużą, około 180 cent. długą a 130—140 szeroką, z grubej włóczki berlińskiej albo z kastorowej. Kolory wybierają się podług gustu; zawsze jednak radzimy unikać zbyt jaskrawych i sprzecznych. Na ryc. 12, dajemy próbkę pasa robionego ściegiem tunetańskim, robionym w jednym kolorze albo w paski w dwóch cieniach, jak na próbce. Z takich pasów spajanych wzdłuż z lewej strony, składać się może cała kołdra, albo służyć one mogą za szlak do tła robionego w kwadraty jak to widzimy na ryc. 9. Czarny i biały wąski pasek z brzegów, robi się oddzielnie i spaja z lewej strony. Gdy pasy mają tylko szlak stanowić, wówczas odrabia je się wzdłuż tak do stron poprzecznych jak i podłużnych na o. 26, a w rogach spaja skośnie lub prosto; w pierwszym razie zaczyna się pasy od 1 o. a w następnych 26 obrobieniach przybiera się od skośnego brzegu po jednem, aż do 26 oczek. Przy zakończaniu pasów gubi się stopniowo do jednego oczka.

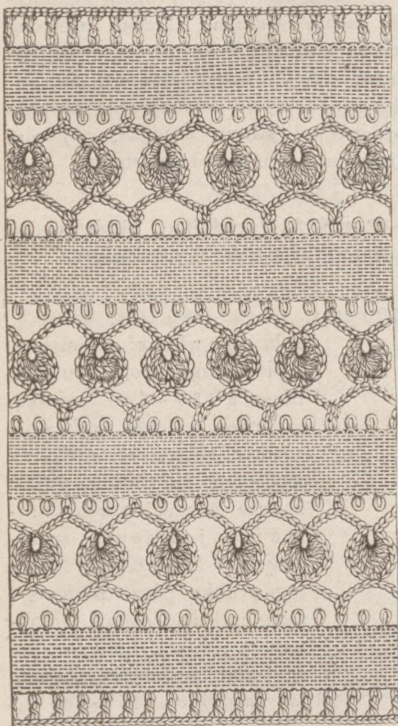
Do prostego spojenia do brzegów poprzecznych dorabia się pasy równe, a do podłużnych dłuższe o tyle, ażeby do końca poprzecznych brzegów szlaku sięgały. Deseń dokładnie odznaczony na próbce ryc. 12, odrabia się filozelą lub włóczką krzyżykami, deseń zaś na narożniki podług próbki ryc. 20, w N. 34 Tygodnika. Odpowiednio do pasów szerokich, wązki biały i czarny pasek (robiony na o. 6) zakończa się skośnie lub prosto. Wyszycie deseniu, któren na modelu robiony był filozelą ciemno i jasno-bronzową, na tle ponsowem w dwóch cieniach, najlepiej dawać od obydwóch brzegów do środka, gdyż tym sposo-

bem najłatwiej go dopasować, ujmując lub dodając trochę ściegów przy figurze środkowej. Rzucik na wązkich paskach z brzegów był naprzemian jasno-szafirowy i ponsowy, z jednym ściegiem maisowym.

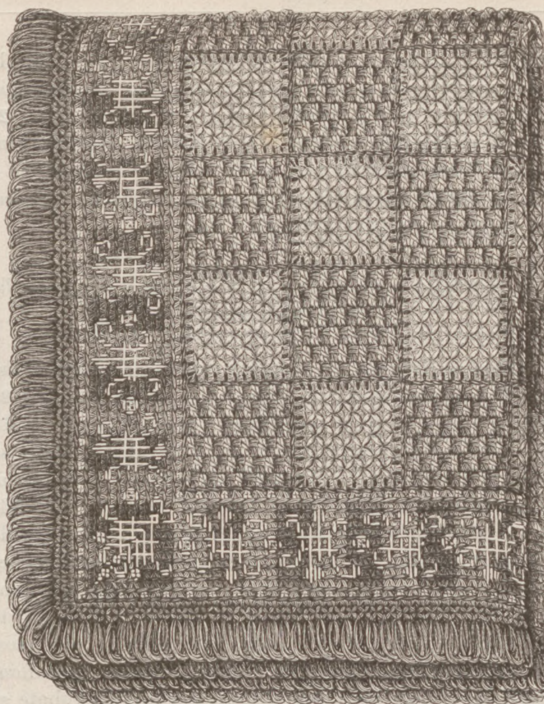
Na modelu tło kołderki dziecinnej, składało się z kwadratów 12 centymetrowych, robionych w dwóch odmiennych kolorach, dwoma rodzajami ściegów. Jaśniejsze kwadraty, robione zwykłym ściegiem tunetańskim, wyszyte były podług próbki ryc. 10, filozelą jaśniejszego cieniu, tego co tło koloru; próbkę roboty do kwadratów ciemniejszych, podajemy w naturalnej wielkości na ryc. 11. Kwadrat zaczyna się na o. 22 i robi tam i napowrót; w pierwszym, do lewej ręki idącym rzędzie robi się o. ści. zawsze zajmując za całą pentelkę czyli o. zwierzchnie poprzedzającego rzędu. W rzędzie 2-gim * 1-sze o. ściśle, zajmuje się jak w rzędzie poprzednim, następnie zarzuca się nitkę na szydełko jak do słupka, przeciąga się poprzecznie pentelkę pod całe oko rzędu poprzedzającego, zrabia razem z nitką zarzuconą, przerabia 1 o. łań. i powtarza ciągle od gwiazdki. Wykończone kwadraty zrabia się lub zeszywa z lewej strony, a na spojeniach daje się z wierzchu wyszycie, dłuższemi i krótszemi ściegami dzierganemi, filozela tego co ciemniejsze kwadraty koloru. Pod skończoną kołderkę daje się podszewkę fularową, kaszmirową, lub z flanelki, a brzegi oszywa się frendzlą robioną na drutach której próbkę dajemy na ryc. 21 w N. 34. Na grubych stalowych, lub cienkich drewnianych drutach, z włóczki wziętej podwójnie, lub nawet potrójnie, zaczyna się robotę na o. 6, dając na przemian, dwa następujące rzędy. Rząd 1-szy 1-no o. przy. (kładąc nitkę pod drut i zakręcając na wierzch), 2 o. zrobić gładko a następnie jedno przez drugie przewlec, czyli zgubić, 1-no przy., dwa zrobić gł. i przewlec, 1-no przy., 2 gładko. Rząd drugi zaczyna się od 2 o. gł. dalej 1-no przy. 2 gł. i przew., 1 przy 2 gładko. Po skończeniu roboty dwa oczy z brzega tam i napowrót robione gładko porą się na frendzlę a resztę stanowią nagłówek. Frendzlę można zostawić nie przecinaną jak na próbce lub poprzecinać; chcąc mieć dłuższą zacząć na o. 7 i 3 o. z brzegu przerabiać gładko. Można także dać frendzlę przyrabianą jak na ryc. 12.



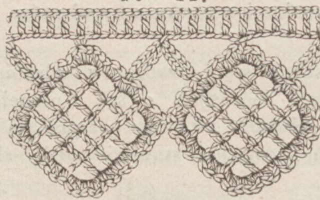
N. 3. Koronka robiona szydełkiem, z tasiemeczką koronkową. Patrz ryc. 4.



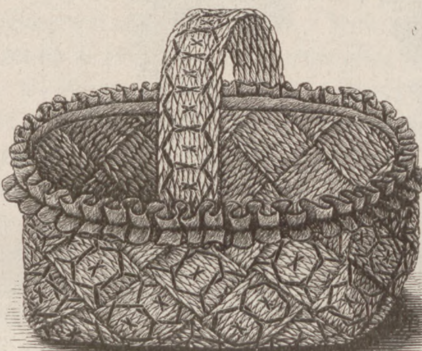
N. 4. Wszywka z tasiemeczki i roboty szydełkowej.



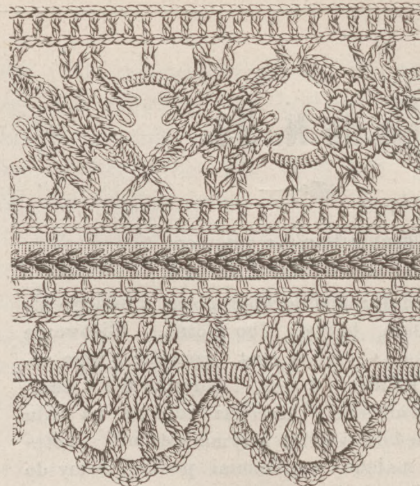
N. 9. Wzór roboty szydełkowej na kołdrę. Patrz ryc. 10—12.



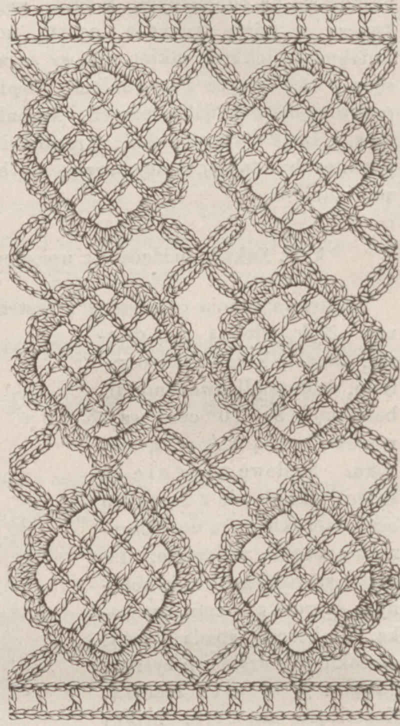
N. 6. Ząbki szydełkowe odpowiednie do ryc. 7.



N. 8. Koszyczek z taśmy szerokiej.



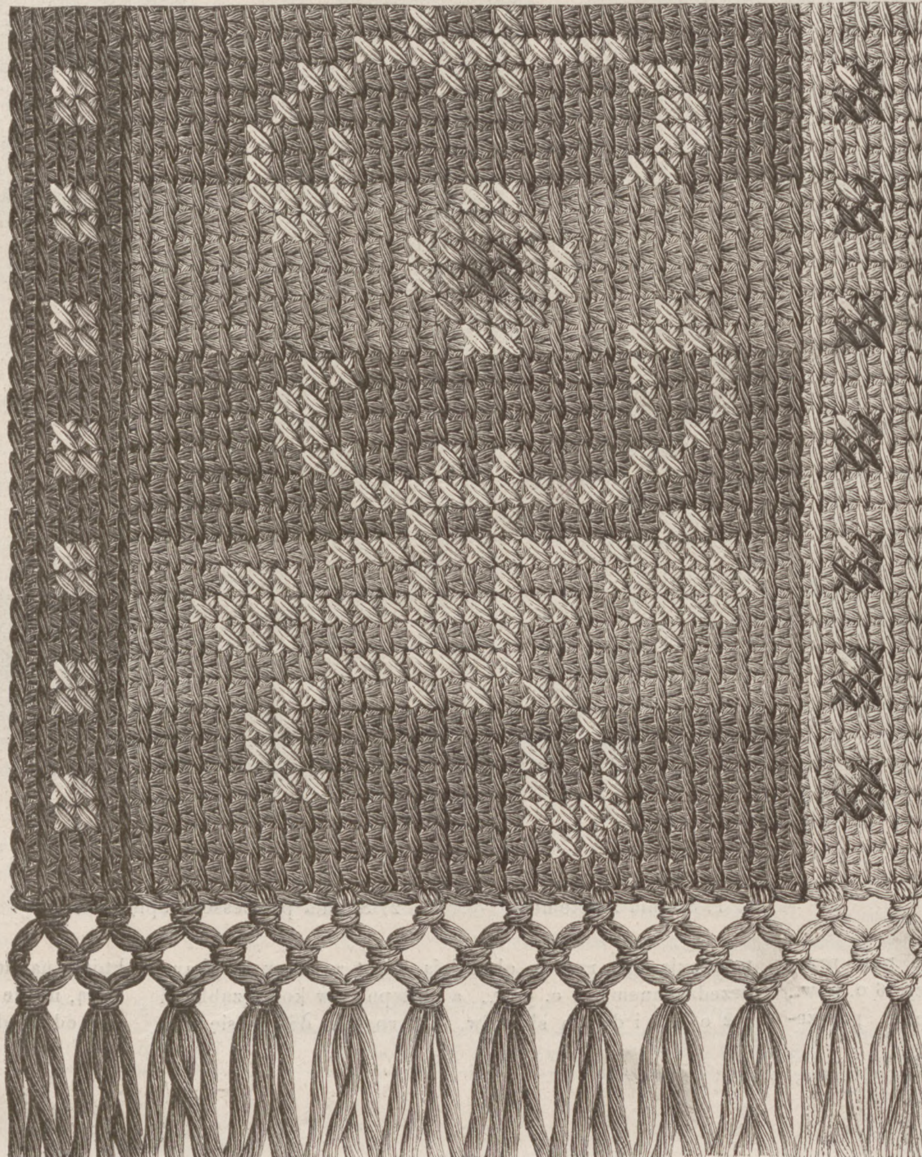
N. 5. Koronka z mignardisse medaljonowej, obrabianej szydełkiem.



N. 7. Wszywka z kwadratów szydełkowych. Patrz ryc. 6.



N. 10. Tło tunetańskie wyszywane, do ryc. 9.



N. 12. Szlak do kołdry ryc. 9.



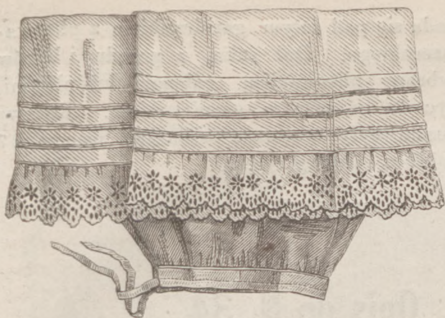
N. 11. Robota tła szydełkowego do ryc. 9

N. 13 — 14. Dwie krótkie spódniczki perkalowe.

Obiedwie spódniczki miały 75 cent. przedniej a 82 tylnej długości, bryt przedni miał 32 górnej a 80 dolnej szerokości małe kliny 8 górnej a 32 dolnej, a prosty bryt z tyłu 85 cent. szerokości. Ryc. 13 przedstawia spódniczkę oszytą u dołu plisą skośną, $9^1/_2$ cent. szeroką, przystębnowaną gładko, w którą w odstępie 2 cent. wstębnowane 3 razy dwa grube sznurki. Do plisy przyszyta trochę nadmarszczona, haftowana falbanka, 8 cent. szeroka. Na ryc. 14 widziemy spódniczkę ozdobioną zakładkami albo stębnowanemi listewkami i plisowaniem batystowem, 9 cent. szerokiem, oszytem nicianą koroneczką.

N. 15. Spódnica flanelkowa.

Pod spacerowe kostiumy wełniane w dnie chłodniejsze, w miejsce perka-



N. 13. Spódniczka z szyrtyngu z falbanką haftowaną.

lowych, używane bywają spódnice z miękkiej i cienkiej flanelki. Model ryc. 15 odrobiony był z flanelki białej, u dołu oszyty 6-ciu plisami 2½ cent. szerokiemi u góry różową wypustką zakończonemi, i koronką 6 cent. szeroką niciana.

N. 16. Gorset dopełniony u dołu pasem elastycznym.

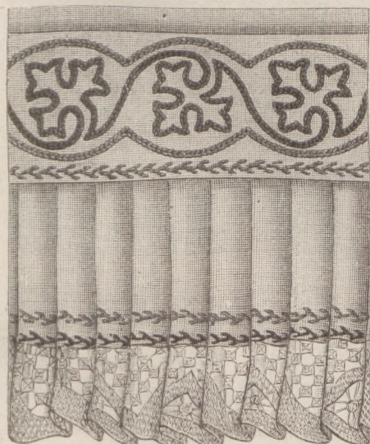
Gorset odrobiony bez szwa, dopełniony jest u dołu pasem elastycznym 8 cent. szerokim, z tyłu kliniasto zeszytym, z przodu na haftki zapinanym.



N. 17. Bluzka batystowa. Patrz ryc. 18—19.

N. 17—19. Bluzka batystowa.

Cienka batystowa bluzka ozdobiona jest listwami z cieniutkiego płótna, haftowanemi bawełną ponsową i niebieską, i plisowaniem z batystu oszytem koroneczką; oprócz tego przody zapinane na kryte guziczki, mają po kilka zakładeczek ¾ cent. szerokich. Ryc. 18 podaje próbkę naturalnej wielkości garnirunku do przodu i mankietów, który przy kołnierzu musi być zwężony. Inny garnirunek ze wstawką i koronką cerowaną na tiulu a obwodzoną bawełną pon-



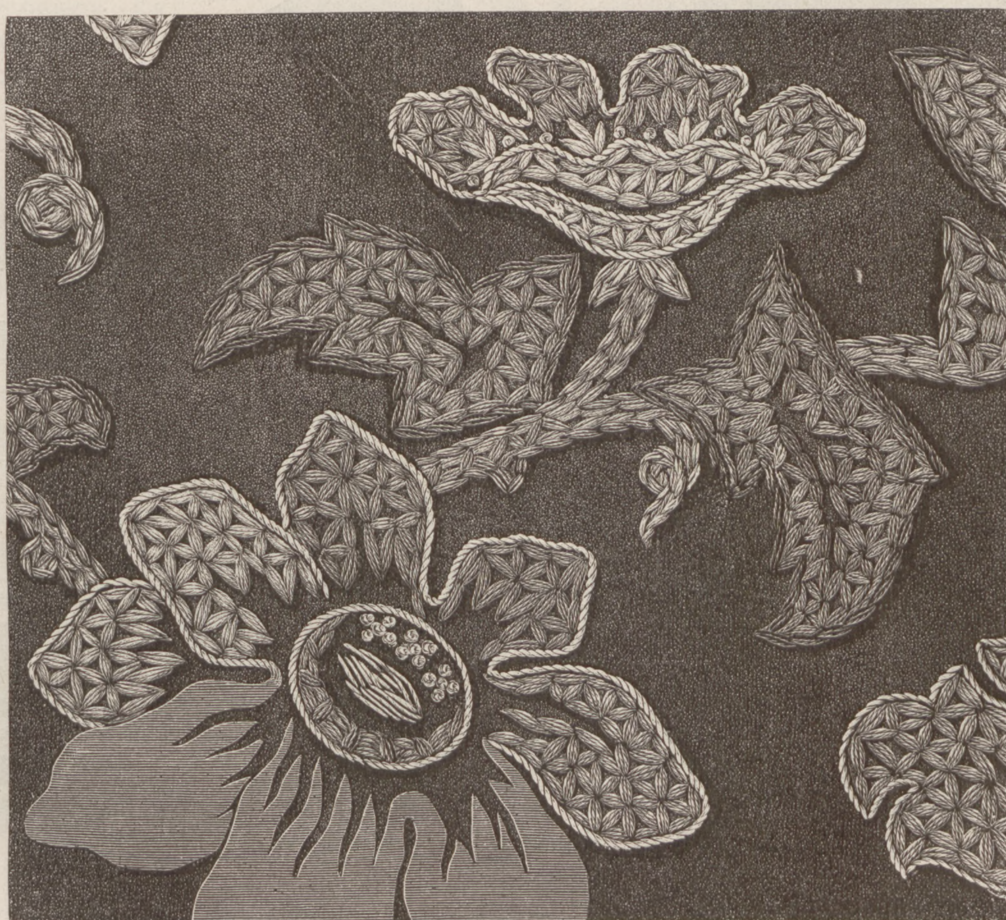
N. 18. Przybranie do bluzki ryc. 17.



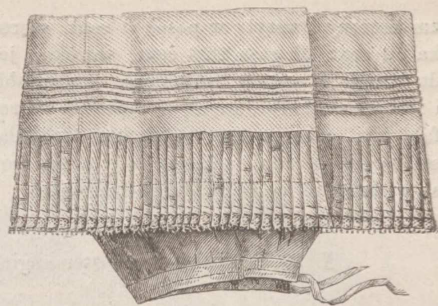
N. 20. Wyszycie krzyżykami na pas do krzesła ryc. 14 w N-rze 34.



N. 21. Haft do krzesła ryc. 14 w N. 34.



N. 22. Haft na materyale wytłaczanym w deseń; do ryc. 15 w N-rze 34.



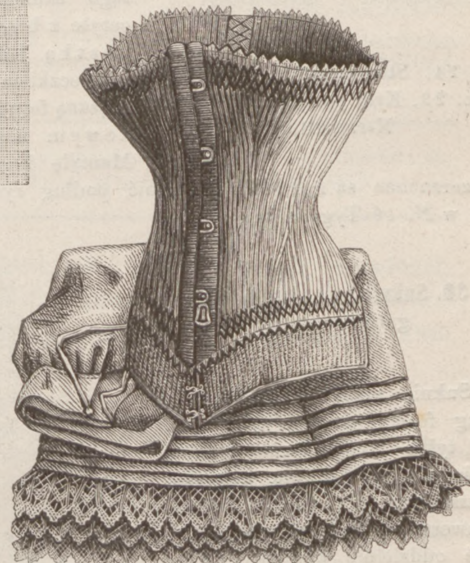
N. 14. Spódniczka z szyrtyngu zakończona plisowaniem.

sową i niebieską, przedstawiamy na ryc. 19.

N. 20—22. Wzory do ryc. 14—15 w N. 34 Tygodnika.

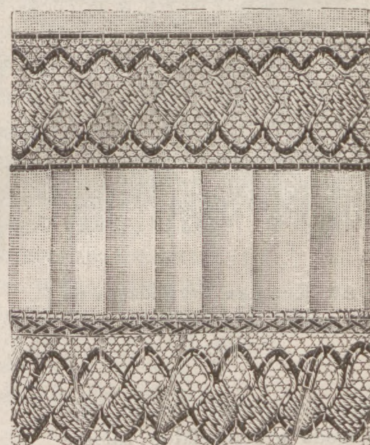
N. 23—25. Ubranie dla małego chłopczyka, złożone z majtek ze stanikiem, bluzki i spódniczki fałdowanej.

Ubranie przedstawione na ryc. 23, odrobione było z płótna jasno-bronzowego koloru, a przyozdobione plisami niebieskiemi 2½ cent. szerokiemi i szlaczkiem haftowanym 2 cent. szerokim. Oddzielnie podane majtki na



N. 15. Spódniczka flanelowa.
N. 16. Gorset z pasem elastycznym u dołu.

ryc. 24 a bluzka i spódniczka na ryc. 25, były z płócienka w kratkę, a plisy szafirowe wyszyte były bawełną białą i ponsową. Majtki z boków zapinane, przypięte są do staniczka białego, (zapinanego z tyłu), na guziki służące także do przypięcia bluzki i spódniczki. Bluzka ma z przodu 32, z tyłu 36 cent. długości a 96 cent. dolnego obwodu, nie licząc w to dopuszczenia na 9 cent. szeroką kontrafałdę z tyłu i z przodu i na małe, po bokach tychże zastębnowane zakładki. Brzeg dolny jest

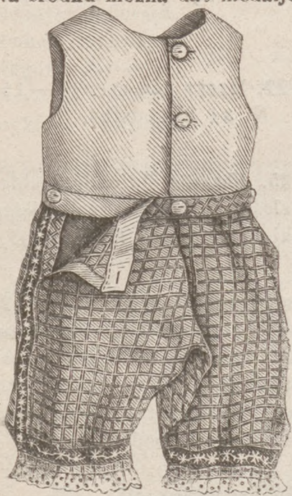


N. 19. Przybranie do bluzki ryc. 17.

zmarszczony i wszyty w pasek 3 cent. szeroki. Spódniczka 22 cent. długa a 226 cent. szeroka, jest odpowiednio do bluzki z przodu ozdobiona kontrafałdą, zakładkami i szlaczkiem haftowanym, i zapinana na rogowe guziczki; fałdy w górze 3 cent. głębokie, zakładają się na dwie strony od przodu, zchodzą z tyłu na środku, a wszyte są w pasek tej co przy bluzce szerokości.

N. 26. Futeralik na plaster angielski.

Kawałek skóry amerykańskiej 12 cent. długi a 8 szeroki, z poprzecznych brzegów skośnie w przeciwnym kierunku zcięty, z wierzchu pokryty materyą albo kaszmirem, z brzegów oszyty kolorową plecionką, składa się we dwoje i zeszywa na kieszonkę w którą chowa się plasterek. Na środku można dać medaljon z literami, a brzegi górne zapiąć na guziki.



N. 24. Staniczek i majteczki do ryc. 23. Krój podług ryc. 36 w N-rze 28.

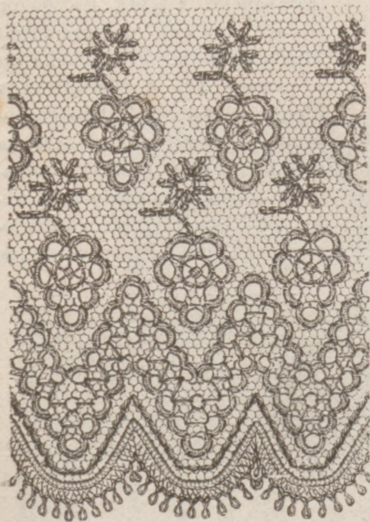
N. 27—28. Wstawka i koronka robiona na tiulu.

N. 29. Ubranie spacerowe z vêtement i mantylą.

Do jedwabnej spódnicy oszytej dwoma skośnemi falbankami dodane jest vêtement i mantyla z grenadyny tego samego koloru, oszyte z brzegów wypustką jedwabną ze sznureczkiem i szeroką wiązaną frendzlą z siatkowym nagłówkiem. Mantylę której końce przerzucone są z przodu przykroić podług ryc. 29 lub 31 w N. 19 Tygodnika.

N. 30. Suknia princesse z trenem garnirowanym.

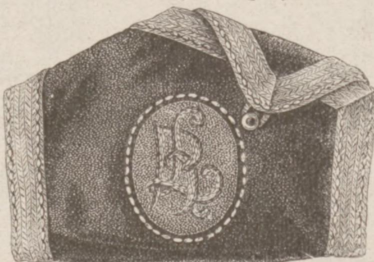
Suknię przykroić można podług formy do ryc. 20 w N. 27, tylko tren znacznie skrócić i nie wstawiać u dołu kawałka potrzebnego przy długim trenie; ranwersy przy pleckach mogą być oddzielnie krajane, albo tylko podwójną pliską odznaczone. Na modelu ranwersy mające 80 cent. długości 14 górnej i dolnej, a 9 szerokości przy wcięciu w stanie, były dodane oddzielnie, wszyte między szew boczny plecków i na ramieniu a z brzegu podwójną wypustką z grubym sznurkiem oszyte. Przypuszczony przy środkowych częściach pleców materyał 12



N. 27. Koronka wywodzona na tiulu naśladująca koronkę malinową.

cent. poniżej wcięcia stanu, jest do spodu w kontrafałdę założony, a takowa aż po za długość ranwersa ze spodu zeszyta, dalej zręcznie rozkłada się pod sutym garnirunkiem z plisowania 8 cent. szerokiego. Dół sukni z przodu i boków może być przybrany plisowaniem, galonami lub plisami, albo jak na ryc. 30 mieszanym garnirunkiem. Rękawy modelu przybrane były w sposób wskazany na ryc. 27 w N. 30, a kołnierz podług ryc. 3.

N. 23. Ubranie dla małego chłopczyka. Patrz ryc. 24—25.



N. 26. Futerał na plaster angielski.



N. 29. Suknia z vêtement i mantylą.

N. 30. Suknia princesse z garnirowanym trenem.

Opis do N. 34.

N. 1—7. Gałązka bzu, robiona z włóczki.

Materyał: włóczka lila i zielona w trzech cieniach, niebieskawo zielony i żółty jedwab, drucik cienki kwiatowy.

Jeszcze w roku 1874 podaliśmy obszerne opisy i objaśnienia, co do roboty kwiatów włóczkowych; ponieważ ten rodzaj roboty ciągle podoba się damom, dajemy więc dziś gałązkę bzu włoskiego i wskazujemy sposób robienia kwiatków, które zarówno jak i listki, robione są sposobem dzierganym.

N. 25. Bluzka i spódniczka fałdowana do ryc. 23. Patrz ryc. 34.

Jak to widzimy na ryc. 2, najpierw składa się nitkę w pentelkę i koło takowej daje się 8 węzłów dzierganych, potem za pozostały koniec, ściąga się pentelkę w ścisły węzeł, stanowiący kielich kwiatka, koło którego dorabiają się listki. Każden listek składa się z 3 ściegów czyli węzłów dzierganych, z których dwa długie zaczepia się do kielicha, a trzeci wiąże listek w górze, jak nas uczy ryc. 3. Po zadzierzgnięciu górnego węzła przeprowadza się nitkę do spodu, a pentelkę na listek drugi, daje się od wierzchu, podług ryc. 4. Po wykończeniu 4-rech listków, przeciąga się nitkę od spodu do wierzchu (jak na ryc. 5) i dorabia się kielich 8 ścisłemi ściegami, zadzierzgniętemi od spodu listków; przez przewleczenie i okręcenie kilka razy od spodu nitki roboczej, nadaje się kielichowi potrzebną sztywność. Drucik okręcony jedwabiem zielonym, mający przymocowany na czubku supełek z jedwabiu żółtego, wkłada się w środek kwiatka, i mocuje od spodu kilku ściegami jedwabiu zielonego.

(dok. nast.)



N. 28. Wszywka wywodzona na tiulu.